EPOKA

ROK III. | Warszawa, 2 sierpnia 1936 r. | Nr. 5 (70)

Treść numeru:

CIEŃ BEREZY

Obozy koncentracyjne, owe nieodłączne ślady stóp wojny, utrwaliły się w świadomości żyjących jako symbole męki i grozy. Skala cierpień moralnych i fizycznych w tych miejscach skoncentrowanej niedoli zależała często nie tyle od warunków bytu, ile od ludzkich czy nieludzkich uczuć naczelnika obozu, samowładnego pana życia i śmierci powierzonych mu jeńców. Wówczas jednak te ponure siedliska powstawały w drodze konieczności wojny, z kłębowiska wprawionych w ruch i rzuconych na siebie miljonowych, zbrojnych mas ludzkich, wypędzonych z domostw i zmuszonych do stąpania wśród gruzów normalnego życia i wśród rumowisk prawa, obowiązku i moralności cywilnej. Legjoniści polscy i liczni inni polscy żołnierze tam zostawili swoje kości i złożyli w imię niepodległości wielką daninę swojej krwi i męki.

Ale dziś? W czasach pokoju, kiedy ziemia nie pali się pod stopami? Kiedy niema jeńców wojennych i nie wiodą ich pospiesznie z ognia bitew? W czasie, kiedy czynności państwa wraz z wymiarem sprawiedliwości działają prawidłowo? Czyż można uznać obozy koncentracyjne, jako dodatkowe atrybuty władzy? W państwie współczesnem, dumnem dziś zwłaszcza z swego wszechwładztwa i z potężnych środków oddziaływania na życie narodu?

Można się różnić w poglądzie co do skuteczności wszelkich kar, polegających na zamykaniu w więzieniach, w twierdzach, jako środków, mających leczyć i nawracać na drogę legalną t. zw. burzycieli porządku społecznego; można też mieć wątpliwości, czy w klimacie więziennym dojrzewać może lojalność wobec władz państwowych; ale nie może być dwóch zdań, że istnienie obozów koncentracyjnych, bez względu na to, gdzie i przeciwko komu są zakładane, — godzi w samą zasadę praworządności i obraża srodze uczucia i sumienie obywatelskie. Gdziekolwiek one istnieją, w Havelbergu czy w Holzmuenden, na Wyspach Sołowieckich czy w Berezie Kartuzkiej, wszędzie tam zesłani oddani są pod rządy administracji, a cały świat tamtejszy usunięty jest z pod kontroli społeczeństwa.

Dziś władza w Polsce spoczywa w rękach ludzi, których cała młodość i wiek męski upłynęły w wspaniałej walce o ideę, naprzód w podziemiach rewolucji, później zaś w nierównych, rycerskich bojach o niepodległość Polski. W duszy żadnego żołnierza wolności, który prawdziwie wzgardził jarzmem niewoli i porozrywał więzy poniżającego poddaństwa, — nie powinno znaleźć sankcji stosowanie takich metod

siły. Każdy do głębi czujący i wrażliwy człowiek, którego treść świadomości nie spoczywa wyłącznie i nie usycha w sferze tylko materjalnych wyobrażeń i potrzeb, widzi jasno moralne szkody, powstające z istnienia Berezy dla Polski. Komu z nas dane było kiedyś trwać samotnie w żywym kamiennym grobie mikołajewskiej cytadeli i tam sam na sam pozostawać z swoją prawdą, wykuwając w cierpieniu sens własnego życia, splecionego z duszą niewolonego przez ciemięzców narodu; komu dane było poznawać wszystkie inne groby wolności na ogromnym szlaku od Warszawy aż po kraniec Sybiru, a później jeszcze we wszystkich obozach skoncentrowanej przemocy zaborców, poczynając od Benjaminowa po przez Marmaros - Sziget aż do Holzmuenden, — ten nigdy nie zazna spokoju, dopóki istnieć będzie Bereza. Choćby tylko przez samą cześć dla męki duchowej tych wszystkich, co przez druty kolczaste w obozach odosobnienia w Niemczech, na Węgrzech, w Austrji i t. d. wpatrywali się w wizję wyzwolonej Polski, dzisiejsi włodarze kraju powinni unicestwić Berezę. Należą i oni przecież do tego pokolenia, co przeżyło i skruszyło niewolę, przekonawszy się w drodze własnych doświadczeń, że przewaga siły władzy nie jest szkołą uległości.

Wszyscy jednakowo miłujemy Polskę, niezależnie od różnicy przekonań i niezależnie też od srogich warunków dzisiejszego życia, i wszyscy pragniemy jej chwały w blaskach wolności, nie chcemy więc dlatego, żeby ją nam przesłaniał ponury cień Berezy.

IV BRYGADA OGŁASZA BANKRUCTWO I-ej

Obóz, rządzący Polską, oddawna atakowany był z wielu stron. Dotychczas jednak wszystkie ataki, usiłujące go podważyć lub obalić, przychodziły zzewnątrz, ze strony partyj opozycyjnych, które rządom pomajowym przeciwstawiały się w imię swych programów politycznych i społecznych.

W chwili obecnej do ataku na obóz pomajowy po raz pierwszy wyruszyła grupa, która podniesionym i gniewnym głosem przemawia już nie spoza jego obronnych murów, ale z samego wnętrza głównej warowni. Mamy tu na myśli wystąpienie konserwatystów w osobie ich wileńskiego wajdeloty, Stanisława Maćkiewicza, wiernego służki Radziwiłłów, który na łamach „Słowa" ogłosił ni mniej, ni więcej, tylko — bankructwo całego obozu rządów pomajowych.

Obóz ten, zdaniem Maćkiewicza, trawiony jest szybko postępującym uwiądem starczym i wskutek tego zagrożony jest zagładą, która ma być tem fatalniejsza i tem bardziej ostateczna, że będzie bezpotomna. Lecz pozwólmy wróżyć samej Kasandrze wileńskiej. Posłuchajmy Maćkiewicza, redaktora rządowo-konserwatywnego „Słowa":

> „Każdy kierunek ideowy wychowuje swą młodzież w swoich ideałach. Socjaliści mają czerwone harcerstwo i młodych socjalistów; bolszewicy pionierów, faszyści balillę, nazi — Hitlerjugend. Pan Jędrzejewicz, sam wiceprezes B. B. W. R., popierał dlaczegoś młodych bolszewików. Ten stan rzeczy należał do najwybitniejszych oryginalności życia polskiego".

Dziś jednak, pociesza swych chlebodawców Maćkiewicz, jest już inaczej.

> „Epoka ta się skończyła, teraz znów jesteśmy za czasów rządów prawego człowieka jen. Sławoj-Składkowskiego. Rządy jego i jego legjonowej ekipy, jego bojowego „patrolu", będą to niewątpliwie rządy ideałów żołnierskich, militarnych, ultra-nacjonalistycznych, gotowych poświęcić wszystko dla Polski i mających za hasło dobro Polski".

Ale i ten rząd nie ma przed sobą przyszłości, ponieważ nie ma swej młodzieży, ponieważ jest w dziedzinie ideowej bezpłodny.

> „Patrol" jen. Składkowskiego, uczestnik walk legjonowych, ma dziś czterdzieści i więcej lat. Jest to wiek męski, „siła wieku". Ale ziarno w stodole nie jest wszystkiem; pozostaje jeszcze troska o ziarno, którem zasiano oziminę".

Tą oziminą może być tylko młode pokolenie. A tymczasem młode pokolenie — nie bez radości stwierdza Maćkiewicz — wzrasta w szkole endecko-klerykalnej.

> „Znam jedną organizację ideową, która bazuje swą siłę nietyle na ludziach w wieku lat czterdziestu, ile na ludziach w wieku od lat ośmiu do czternastu. Na dzieciach w okresie katechizacji".

Jakgdyby naprzekór tym „ideałom", szczepionym w szkole katechizacji i nacjonalizmu, obóz rządowy ciągle próbuje żyć tylko puścizną Legjonów r. 1914.

> „Legjony są wielką rzeczą, ale legjoniści muszą zrozumieć, że... naszej młodzieży najwspanialsza epopeja legjonów wystarczyć nie może, tak jak nam gimnazistom przedwojennym nie wystarczałoby, dajmy na to, wyłączne rozmyślanie nad powstaniem 63 roku".

Tak obnażywszy pustkę i niemoc, w jakiej znalazł się obóz rządowy w obliczu przyszłości, redaktor „Słowa" uderza w ton fałszywej, bo udanej, rozpaczy i woła nibyto z żalem, a w istocie rzeczy z jadowitą, źle tłumioną satysfakcją pod adresem starej piłsudczyzny:

> „Na miłość Boską, gdzież jest wasza młodzież, i w imię jakich innych młodych wartości zwalczacie młodzież endecką.. Kierunek ideowy bez młodzieży, to jak bezpotomny wielki ród szlachecki. Smutek unosi się nad jego dostojeństwem".

Dostojeństwo, jak widzimy, Maćkiewicz gotów jest pozostawić jeszcze na dożywocie Piłsudczykom, jako weteranom epopei legjonowej. Wszystko inne postanowił przekazać endekom i katechetom: oto plan, którego doczekali się towarzysze Piłsudskiego w wyniku 10-letniego okresu swej pracy rządzenia Polską na współkę z konserwatystami.

Redaktor „Słowa" stawia sprawę brutalnie lecz szczerze: w jego osobie — rzec można — CZWARTA BRYGADA ogłasza bankructwo PIERWSZEJ.

Aby fakt ten sam przez się niezwykle znamienny, nabrał wymowy właściwej, trzeba przypomnieć, że kiedy Piłsudczycy przed laty 10-ciu wciągali konserwę do swego obozu, to głównym motywem, którym się podówczas kierowali, była rachuba, że konserwatyści staną się czynnikiem, który sparaliżuje w społeczeństwie wpływy endecji. W imię tego sojuszu z konserwą, obóz rządowy poświęcił interesy lewicy, interesy demokracji pracowniczej. W imię tegoż sojuszu wyrzec się on musiał i wpływów na młodzież: na tę młodzież prawdziwą, która jest młodością narodu, t. j. niesie w sobie przyszłość Polski ludowej.

I oto — wyniki: ci, którzy mieli być tarczą przeciw endecji, sami wzywają obóz rządowy do kapitulacji na rzecz endeków, ci, którzy wytykają piłsudczykom brak duchowego potomstwa, są tymi, którzy najskuteczniej wyjałowili ich w ciągu lat dziesięciu ze wszelkich pierwiastków dynamiki i ekspansji społecznej.

Mowa, którą historja ogłasza swe prawdy, bywa niekiedy mową piekącej ironji. *Andrzej Grot.*

IM PRĘDZEJ, TEM LEPIEJ

W ostatnich paru tygodniach w prasie coraz częściej odzywają się głosy, podnoszące konieczność przeprowadzenia pełnej reformy rolnej, przedewszystkiem — wywłaszczenia wielkiej własności rolnej (bez odszkodowania). Gdy się postawiło na czele zadań usprawnienie zdolności obronnej kraju, jest już logicznem następstwem natychmiast, bez żadnej dalszej zwłoki, wejrzeć w potrzeby dwudziestokilkomiljonowej rzeszy włościaństwa polskiego. To jest bowiem podstawa i zabezpieczenie niepodległości narodu i państwa. Słyszymy więc już dziś w komunikatach radjowych, czytamy coraz częściej w prasie stołecznej, że kwestja reformy rolnej została w ostatnich latach odsunięta na dalszy plan, była niedoceniana, aż dziś w najcięższej sytuacji dla wsi, sami chłopi wysuwają ją naprzód z ogromną wyrazistością i siłą. Każdy więc fragment wiadomości o przemianach w wielkości gospodarstw rolnych, o kierunkach, w jakich życie kształtuje te przemiany, ma dziś wagę przyczynka do kwestji, która wysuwa się na czoło najpilniejszych państwowych zadań w Polsce. Plaga chłopa polskiego — głód ziemi — na przestrzeni piętnastolecia od pierwszego powszechnego spisu ludności (w r. 1921) wzrosła wielokrotnie, szczególnie jaskrawo w niektórych połaciach kraju. Rozporządzam takim fragmentem wiadomości dla województwa łódzkiego.

Liczba różnych kategoryj gospodarstw na terenie województwa łódzkiego w hektarach:

	0.—0.5	0,5 — 1	1 — 2	2 — 3	3 — 4	4 — 5	5 — 10	10 — 20	20 — 50
r. 1921									
Ilość gospodarstw	13.951	13.994	20.918	16.931	21.676	20.703	63.655	26.162	3.503
Powierzchnia	3 886	10.074	31.779	43.158	77.192	92.970	451.054	343.911	92.144
r. 1935									
Ilość gospodarstw	22.961	26.583	45.978	36.712	37.073	30.959	63.701	17.657	2.238
Powierzchnia	8.743	22.030	77.283	97.557	134.089	141.117	471.635	251.635	65.830

Ogółem wszystkich gospodarstw (również ponad 50 ha) w roku 1921-ym — 202.807 (powierzchni 1.706.333), w r. 1935-ym — 285.005 (powierzchni 1.667.681).

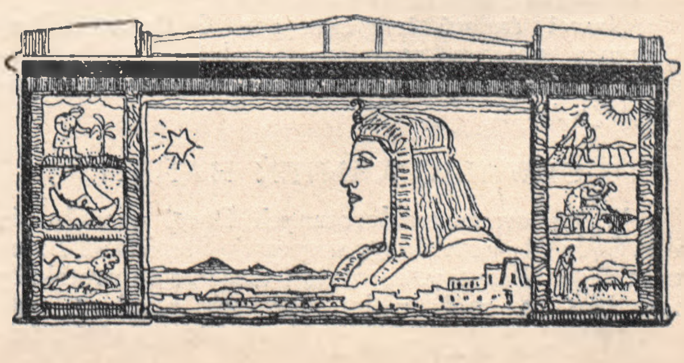
Otóż z danych, zebranych przez starostwa przy pomocy zarządów gmin oraz sołtysów i przepracowanych przez Łódzką Izbę Rolniczą i Urząd Wojewódzki, wynika, że w okresie od 1921 do 1935, prawie podwoiła się liczba gospodarstw karłowatych w województwie, powiększyła się liczba gospodarstw małorolnych, liczba zaś gospodarstw ponad 5 ha pozostała prawie bez zmiany.

W ostatniem sześcioleciu przemysł wojew. łódzkiego, dotknięty najcięższym kryzysem, nie wchłania już, jak to było w latach konjunktury, licznych włościan, właścicieli gospodarstw karłowatych i mniejszych wśród małorolnych. Dorabianie w fabrykach było dawniej zasadniczem źródłem utrzymania dla chłopów, osiadłych na drobnych gospodarstwach, nie mogących wyżywić rodziny. Gdy zaś kryzys odcina to źródło dorabiania i zarabiania na życie dla najbiedniejszych rodzin chłopskich, zjawisku temu towarzyszy nie przyrost ziemi, lecz tak tragiczne w tempie kurczenie się chłopskich gospodarstw, wynikające naturalną drogą z podziału ziemi między członkami rodziny.

Zdaje się, że świadomość konieczności oddania chłopom całej rozporządzalnej ziemi w kraju zaczyna się już w Polsce upowszechniać: to znaczy, że prócz włościaństwa oraz proletarjatu, gdzie zawsze ta świadomość istniała, zaczyna rozumieć to i inteligencja, bez różnicy odchyleń politycznych. Nic też dziwnego, że w związku z wysunięciem naczelnego zadania państwa — obronności kraju —, dla rządu, odpowiedzialnego za stan tej obronności, staje się najpilniejszem zadaniem zadowolenie palących potrzeb i powszechnego żądania wsi — reformy rolnej, wywłaszczenia wielkiej własności rolnej. Bronić kraju pójdzie chłop. Nie może go bronić skutecznie — rozgoryczony, zawiedziony, przymierający głodem.

Przeprowadzenie reformy rolnej, kategoryczne i szybkie, a poprzedzone wyraźną deklaracją o wywłaszczeniu wielkiej własności rolnej — to gwarancja obronności Polski. Niemniejsze znaczenie w sprawie tej będzie miał zwrot do demokratyzacji kraju. Polska powstała jako państwo demokratyczne, a Legjony szły do walki o Polskę Ludową. Na ten szlak — prędzej czy później — będzie się musiało wracać. Im prędzej, tem lepiej dla przyszłości i narodu i państwa polskiego.

H. Krahelska.



ODGŁOSY

ŻYCIE I ZGON — ORLICZ DRESZERA

Nieopodal mola Orłowskiego zginął tragicznie w falach Bałtyku gen. Gustaw Orlicz - Dreszer. Niezwykła epoka wydaje niezwykłych ludzi, a życie Gustawa Orlicz - Dreszera, pełne romantycznych czynów i zdarzeń, było jakby spełnieniem wizji poetyckiej, snutej w szlachetnej wyobraźni i unoszącej się wysoko ponad zwykłą codzienność.

Gustaw Orlicz - Dreszer urodził się w 1889 r. W 1905 r., po ukończeniu gimnazjum w Częstochowie, brał bardzo czynny udział w walce o szkołę polską. Później studjował prawo we Lwowie, a w życiu akademickiem wybił się na czoło ruchu niepodległościowego. W 1914 r. ukończył akademję handlową w Hawrze i tegoż roku dn. 1-go sierpnia poszedł na wojnę jako porucznik kawalerji carskiej, ale już dn. 14 sierpnia wykonywa wspaniały raid, przedzierając się na stronę polską: skacze w fale Nidy, przepływa ją konno, ostrzeliwany przez Rosjan i melduje się w kwaterze I-ej brygady. W grudniu 1916 r. przechodzi do służby w piechocie, w lipcu 1917 r., jako jeden z najgorliwszych organizatorów odmowy przysięgi w legjonach, zostaje internowany przez Niemców, naprzód w Szczypiornie, później w Havenburgu i w Rastacie. Przechodząc szybko wszystkie stopnie oficerskie i dowodząc coraz większemi jednostkami kawalerji, — w 1930 r. zostaje inspektorem armji. Będąc duszą Ligi Morskiej i Kolonjalnej, dn. 4 lipca r. b. jako wybitny organizator obejmuje nadto stanowisko inspektora obrony powietrznej państwa; zaledwie w dwanaście dni potem, 16 lipca ginie, spadając na samolocie w otchłań Bałtyku.

Jako człowiek, Gustaw Orlicz - Dreszer, był uosobieniem bezinteresowności materjalnej i szlachetności uczuć. Do końca dni swoich był jednym z tych nielicznych, wybitnych bojowników niepodległości, którzy nie wyrzekli się dawnych ideałów i nie wyparli się swoich dążeń demokratycznych. Jako jeden z główniejszych obowiązków patrjotycznych uznawał obronę uciśnionych i wydziedziczonych, czemu dał jaskrawy wyraz w pamiętnej swojej mowie krakowskiej, wygłoszonej w roku ubiegłym.

Z istoty rzeczy wypływa, że duch rzemiosła wojennego nie idzie w parze z duchem romantyzmu, generał nigdzie nie kroczy w szlifach poetyckiego natchnienia. Gustaw Orlicz - Dreszer należał jednak do tej kohorty młodzieży romantycznej, która, w żarliwem pragnieniu wolności i zapatrzona w wizję niepodległości, porzuciła cyrkle, skalpele i pióra, a chwyciła w ręce miecze, iżby wywalczyć dla niej warunki ziszczenia i kształt rzeczywisty.

Nawet śmierć tragiczna gen. Gustawa Orlicz-Dreszera, nosząca znamiona symbolu, swoją niezwykłością zakończyła i zamknęła epopeję jego szlachetnego życia.

ODWALIĆ KAMIEŃ HAŃBY!

W numerach zeszłorocznych Drogi ukazały się akta Sądu Obywatelskiego w sprawie Stanisława Brzozowskiego. Wszyscy, co czytali uważnie te protokuły posiedzeń, a znali z lat dawnych przebieg tego wstrząsającego procesu, — ze zdumieniem stwierdzili, że niema tam ani śladu owej niezmiernie ważnej sceny, która się rozegrała między Brzozowskim i Bakajem i została przerwana przez osobę, do Sądu nie należącą. Obecnie jednak, Zofja Nałkowska, która osobiście jako młodziutka naówczas pisarka śledziła przebieg procesu krakowskiego, — ogłasza swoje wspomnienia o sprawie Brzozowskiego w nr. 3 — 4 miesięcznika literackiego *Studio*.

Zofja Nałkowska nie snuje tych wspomnień wyłącznie z pamięci, lecz czerpie ich treść wstrząsającą z notatek, czynionych wówczas bezpośrednio po każdem posiedzeniu sądu, co jeszcze bardziej podnosi ich wartość i znaczenie. Nabierają one dziś wagi dokumentu, tembardziej cennego, że sama sprawa Brzozowskiego jeszcze nie wygasła, lecz, przeciwnie, wciąż stanowi żywy wyraz palącej krzywdy, nieustannie i niezmiennie domagającej się zadośćuczynienia.

Oto najważniejszy fragment procesu, pominięty niewiadomo dlaczego w protokułach Sądu Obywatelskiego, podany wiernie i wielce plastycznie przez tak wiarogodnego świadka, jak Zofja Nałkowska:

„W pewnym momencie zeznań Bakaja nastąpiła niezwykła scena. Brzozowski wstał, podszedł powoli ku niemu. „P o w t o r i t i e, c z t o w y m n i e d a w a l i d i e ń g i", powiedział zbliska, patrząc mu w oczy. I Bakaj cofnął się o krok wtył, nie odpowiadając. „P o w t o r i t i e, c z t o w y m n i e d a w a l i d i e ń g i" powiedział Brzozowski jeszcze raz. I Bakaj jeszcze raz się cofnął, jednak nie znajdując w tej chwili żadnych słów — ani oburzenia, ani obrony. O tej chwili w sali zapadła cisza zupełna, chyba nawet sędziowie powstrzymali oddech. Można było myśleć, że wreszcie pęknie wieko nad tą tajemnicą, że coś stanie się jasne, że wreszcie prawda wybuchnie.

„Ale zwarcie się tych dwuch trwało tyle zaledwie, ile zabrały czasu te dwa gwałtowne, krótkie pytania. Stojący pod piecem blisko sędziowskiego stołu D. przyskoczył do Bakaja z odsieczą, wołając ku sędziom: „Dlaczego sąd pozwala męczyć świadka". Brzozowskiemu odebrano głos. Bakaj ochłonąwszy powiedział w stronę Brzozowskiego: „A wsio taki wy służyli w Ochranie". Z tego nieznacznego przesunięcia, z poprzestania na ogólniku, z tego uchylenia się zasłony, najsłabszej jakiejś poszlaki prawdy Sąd nie zrobił żadnego użytku.

„Ten sam D. powiedział obok mnie w czasie pauzy, w bocznym pokoju: „B o l e p i e j j e s t s k a z a ć d z i e s i ę c i u n i e w i n n y c h, n i ż j e d n e g o w i n n e g o p u ś c i ć".

Są jeszcze inne wymowne szczegóły w tych wspomnieniach Zofji Nałkowskiej, świadczące o komedji omyłek i o tragedji zaślepienia, co wszystko razem składa się na obraz grozy, który wyrywa z duszy autorki „Granicy" takie wyznanie: „Jestem tak głęboko wstrząśnięta tą sprawą, jakbym była obecna przy dokonywaniu morderstwa". Czyż w tych piekących wyrazach, wypowiedzianych z pełną świadomością rzeczy przez znakomitą pisarkę, nie przebija nuta wyrzutu i motyw oskarżenia Sądu Obywatelskiego o ciężkie krzywdy moralne i o to, że pozwolono umrzeć Brzozowskiemu bez rehabilitacji?

**
*

Dziś coraz głośniej się mówi o konieczności odwalenia kamienia hańby z florenckiej mogiły umęczonego wielkiego pisarza. Póki żyją wiarogodni świadkowie życia Brzozowskiego, trzeba powołać pośmiertny sąd honorowy, któregoby orzeczenie, zaopatrzone w urzędową moralną pieczęć Akademji Literatury i Towarzystw Literackich całą tę sprawę raz

na zawsze zamknęło. W sądzie takim, wyłonionym przez Polską Akademję Literatury lub powstałym pod jej egidą, złożyćby powinni zeznania świadkowie martyrologji Brzozowskiego bez różnicy dzisiejszego ich sztandaru literackiego i politycznego. Taki pośmiertny sąd honorowy, mając do rozporządzenia cały gotowy materjał faktyczny i opierając się na prawdzie i na daremności poszukiwań dowodów winy Brzozowskiego w ciągu lat trzydziestu, — mógłby na kilku posiedzeniach rzecz ustalić i swym moralnym autorytetem wciąż żywą famę haniebną pogrzebać dziś na wieki. Usunąłby jednocześnie i ostatecznie z życia polskiego złowieszcze ślady ochrany wraz z jej ponurem, triumfującem dotąd widmem Bakaja.

Jeżeli taki sąd nie powstanie teraz, nie powstanie już nigdy, a pokutujący cień Brzozowskiego stałym wyrzutem błąkać się będzie w dziejach myśli polskiej, historycy zaś, którzy w przyszłości zajmą się poszukiwaniem prawdy, nie będą przez nas zwolnieni od daremnego rozkopywania jego popiołów. Jakiego wystudzenia dusz współczesnych potrzeba i jakiego bezmiaru zobojętnienia, iżby móc w milczeniu znosić tę klątwę nieusprawiedliwioną? Jak długo ludzie będą dźwigać narzucone połączenie najwyższej hańby z zaszczytnem imieniem literata polskiego? Zresztą w jakim świecie moralnych wartości uda się pogodzić i przekazać potomnym twórczość wielkiego pisarza z jego rzekomo kainową robotą szpiega na służbie katów narodu polskiego?

Henryk Lukrec.

MOWA ŻAŁOBNA PRZED ANATOMICUM

Pogrzeb Dawida Jabłońskiego, sekretarza Zarządu Głównego Polskiego Związku Wolnej Myśli,— stanowił ceremonję niezwykłą, bowiem ciała zmarłego nie oddano ziemi, lecz, zgodnie z jego ostatnią wolą, przekazano prosektorjum dla celów naukowych. Poniżej dajemy wyjątek z podniosłej mowy Leo Belmonta, wygłoszonej nie nad otwartym zatem grobem D. Jabłońskiego, lecz przed Instytutem Anatomicznym Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie:

„Pomyślmy na chwilę w skupieniu o odważnym czynie, świecącym w testamencie ob. Jabłońskiego, ofiarującego swoje zwłoki prosekcyjnemu stołowi i kostnicy „anatomicum".

Kiedy składamy tradycyjnie zwłoki w ziemi, ukrywamy przed okiem naszem okrutną podziemną robotę niszczycielskich sił. Proces rozsypywania się prochów maskuje zielona murawa i rosnące kwiaty; na mogile staje pomnikowy kamień, jako droga dla żywych pamiątka o umarłych. W tych formach uczucie ludzkie godzi się od wieków z pokojem cmentarza — i umierający stosują do nich swoje życzenia pamiątki pośmiertnej.

Rzymianie palili zwłoki, ale pod dachem rodzinnego domu u stóp posągów składali w urnach popioły krewnych, otaczając je czcią nabożną i zdobiąc laurami na znak dostojeństwa tych, co odeszli nazawsze.

A również i krematorja współczesne, przeobrażając kruche ciało w czysty żywioł ognia — pozostawiają ku pocieszeniu kochającej rodziny urny z popiołami, bądź umieszczone na specjalnych cmentarzach, bądź wmurowane w ściany marmurowe, przemawiające napisami o tych, co przeminęli.

A jeżeli nawet indusi rozwieszają zwłoki swoich umarłych w kwietnych parkach na gałęziach wysokich drzew, — to przecież i oni cieszą się nadzieją, że ptaki drapieżne, rozszarpujące ich krewnych, przechowują ich dusze w swojem ciele i zmarli ich w nowej postaci bujać będą potężnemi skrzydłami w wolnym eterze nieba.

A tu... tu... tu nic — przerażające nic. Albo coś gorszego jeszcze, niżli nic — albowiem do zwłok, składanych w prosektorjum, przyczepiona jest przesądem tradycyjnym, niestety! bliskim sromowi prawdy życia — hańba śmierci żebraczej, kalekiej, pijanej, przestępnej, włóczęgowskiej, w opuszczeniu przez wszystkich, bezimiennej zgoła i nie posiadającej nikogo z krewnych, który łzę miłości uroniłby nad takim umarłym.

Jakże więc na taki pochów nie będący pochowem — na taki pogrzeb, nie będący pogrzebem, zdecydował się mężnie ob. Jabłoński — wbrew tym sercom, które go kochają i opłakują, wbrew tym wszystkim duszom, które szanowały go za życia i szanują po śmierci, a wiedząc o tem, iż cześć dla umarłych jest wielką sprężyną postępu życia nigdy nie dalibyśmy zgody na pohańbienie jego ciała po śmierci!

Zdecydował się jednak nietylko w konsekwencji wolnomyślicielskiego nastroju, pragnącego jeszcze po śmierci zaprotestować swoją heroiczną wolą przeciw brakowi u nas krematorjów, bądź świeckiego, wolnego od obrządków religijnej magji cmentarza,— ale ponadto dla objawienia światu jeszcze kośćmi swojemi i martwemi członkami wielkiej idei, w którą wierzył za życia.

Była to myśl, jaką wyraził z olbrzymią skromnością wielki uczony polski, prof. Baudouin de Courtenay, pisząc te słowa pamiętne: „tak mało uczyniłem za życia, że pragnąłbym choćby po śmierci przysłużyć się ciałem swojem nauce medycyny, być objektem ćwiczeń jej młodych adeptów na pożytek ludzkości"!

I była tu jeszcze jedna myśl, którą wypowiadam w imieniu zmarłego, gdy zwiędłe jego usta już jej wypowiedzieć nie mogą, ale czyn jego daje jej wymowne świadectwo; a ona brzmi:

Jest to zgrozą, że nasz ustrój społeczny karmi się trupami nędzarzy, nie mających prawa nawet do kawałka ziemi na spokój wieczny, że ubóstwo i opuszczenie pracują dla rozwoju nauki, która daje zdrowie i życie zamożnym za cenę poniewierki tych, którzy trafem dostają się na stół sekcyjny.

A ob. Jabłoński chciał, żeby ofiara z ciała, obróconego na martwą rzecz — otoczona została indygenatem szlachectwa i glorją szacunku, skoro może stać się ofiarą dobrej woli i mądrości, myślącej o dobru innych, wtedy, kiedy o sobie już wcale myśleć nie można, a można myśleć tylko zgóry o ludzkości poprzez to ostatnie, jednak możliwe jeszcze, poświęcenie."

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

NAJDZIWNIEJSZE PRZYMIERZE

W poprzednim (4) n-rze „Epoki", omawiając dzieło Aleksandra Świętochowskigo „Genealogja teraźniejszości", przedstawiliśmy, zgodnie z ogólnemi tego dzieła wynikami, obraz ponurego renesansu, jaki w Polsce obecnej przeżywają ideały klerykalno-ziemiańsko - szlacheckie. Stwierdziliśmy fakt. Skolei wypada zapytać, jakie są tego faktu przyczyny? Jak się stało, jak się stać mogło, że ziemiaństwo, reprezentujące nikłe kilkanaście tysięcy rodzin, skupia wciąż w swoich rękach obszary, mogące dać warsztaty pracy miljonom drobnych rolników? Czem się dzieje, że klasa ta, będąca przeżytkiem społecznym i gospodarczym, wysunęła się na jedną z pierwszych pozycyj państwowych?

Odpowiedź na to pytanie daje nam „Idea Polski" Władysława Grabskiego, książka, będąca jakby organicznem uzupełnieniem djagnozy, którą postawił Świętochowski. Daje ją, oczywiście, w tym wązkim zakresie, w jakim dać ją może publikacja, będąca napół rozprawą polityczną, zabarwioną sentymentem solidaryzmu społecznego, napół apologją osobistą autora, który, ze szkodą dla przedmiotowości wykładu, raz po raz występuje w roli adwokata swojej własej sprawy i swojej własnej biografji. Biorąc pod uwagę zastrzeżenia, wynikające z zachowawczego i apologetycznego charakteru książki, stwierdzić jednak wolno, że do rozdziałów, najmniej skażonych elementem stronniczości, należą właśnie te, w których były premjer kilkakrotny rządów przedmajowych charakteryzuje i wyjaśnia odrodzenie w Polsce nowej starych wpływów szlachecko-ziemiańskich. Autorowi, który sam wyrósł z grzędy ziemiańskiej i szlacheckiej, niemały zaszczyt przynosi odwaga, z jaką przezwyciężając poniekąd przesłanki swego partykularza, usiłuje na Polskę dzisiejszą spojrzeć ze stanowiska szerszych postulatów, jeśli nie radykalnych, to bądź co bądź demokratycznych. I on także, równie jak Świętochowski, stwierdzając „renesans ideałów szlacheckich", dostrzega, nie bez trwogi, jako ich bezpośredni odpowiednik na przeciwległym krańcu społecznym, powrót owego zjawiska, owego fatum, które w chwilach szczerości rejestruje oficjalna nawet publicystyka, a które przedewszystkiem sama świadomość chłopska osądziła, jako „powrót pańszczyzny".

1.

Zdaniem Grabskiego, ziemianie już przed wojną światową wyraźnie zaczęli dążyć do posiadania swoich zamkniętych organizacyj. Zaczęły się wśród nich wytwarzać ambicje co do tego, aby właściciele folwarków mogli w narodzie ujarzmionym większą odgrywać rolę, choćby w oparciu i pod osłoną ujarzmicieli. Podatnej ku temu ideologji dostarczyło im stronnictwo N. D., głoszące podwówczas trójlojalizm, t. j. program, w każdym zaborze zalecający hasło lojalnej współpracy z istniejącym tam rządem. Nadchodził moment, który ziemianie uznać postanowili za najwłaściwszy do tego, aby ostatecznie przekreślić „mrzonki" o niepodległości i odtąd grób ojczyzny spokojnie obsadzać burakami, sprzedawanemi do cukrowni, lub kartoflami, z których pędzili we własnych gorzelniach spirytus, zamieniany na cesarskie ruble, marki i korony. Nie ich było winą, że moment, który obrali dla swej decyzji, powziętej w chwalebnem przewidywaniu długich lat pokoju, okazał się momentem, poprzedzającym rozpętanie największej wojny świata: wojny i rewolucji, z których odrodzić się miało Państwo Polskie.

Mylna ocena sytuacji europejskiej i zmienne koleje wojny nie wytrąciły jednak ziemian z zajętego przez nich stanowiska, które było stanowiskiem nihilizmu wobec idei niepodległości, samolubstwa wobec ludu. Ten nihilizm i to samolubstwo, w coraz ciaśniejszym zamykające się kręgu, wynikały z utajonej obawy, aby kosztów niepodległości nie wypadło okupić utratą folwarków, zagrożonych parcelacją, a może i wywłaszczeniem w razie powołania pod sztandary ojczyste miljonowej armji chłopskiej. Żołnierze takiej armji, odetchnąwszy powietrzem bitew, rozstrzygających o losie kraju, czyż zgodziliby się wrócić do roli parobków i wyrobników dworskich? *Faktem jest, że ziemiaństwo ceniło wyżej pewność i zaufanie, jakie reprezentował generał-gubernator Beseler, niż ryzyko, które podówczas uosabiał brygadjer Piłsudski.* W czasie wojny myślało ono istotnie tylko o jednem: o swych majątkach. Legjony powstały, wyniosły sprawę ojczystą przed forum Europy, rzuciły wyzwanie okupantom: ziemiaństwo, jak z krwawym wyrzutem pisał Tadeusz Hołówko, liczyło krupy i paskowało na zbożu. Za Józefem Piłsudskim zawarły się bramy Magdeburga: ziemiaństwo ani jednym protestem nie zadokumentowało swej solidarności z uwięzionym; wkrótce zaś potem, w osobie rady regencyjnej, zasiadło do uczty przy stole Beselera.

Gdy Państwo Polskie powstało do życia poza wolą braci ziemiańskiej, a po części i wbrew niej, przedstawiciele jej odrazu zajęli wobec niego postawę nieufną i wrogą, t. j. taką, jaka wynikała z ich ustalonej ideologji. Całą niewyżytą pod zaborami energję buntu ziemianie skierowali przeciw Naczelnikowi Państwa, depcąc jego dekrety, rządowi zaś ojczystemu odmawiając pieniędzy i chleba. Z niepokalaną, a złowieszczą konsekwencją widzieli oni w odbudowanej Rzeczypospolitej to jedno tylko oblicze, w którem odbijała się groźba, zawieszona nad ich stanem uprzywilejowania: groźba reformy rolnej. Pierwszy sejm, który miał ustawę o reformie tej opracować, urągliwie przezwano sejmem „parcelacyjnym".

Znane są dzieje ustawy. Zasada wywłaszczenia przeforsowana była w r. 1919 większością znikomą, a następnie toczył się uparty spór o każdy szczegół reformy. Ze strony ziemian polskich, w odróżnieniu naprzykład od rumuńskich — przypomina Grabski — nie było prawie żadnej gotowości do większych ustępstw. Gdy poseł Czetwertyński i minister Janicki zajęli wobec reformy rolnej stanowisko ustępliwe, wykluczono ich obu ze Związku Ziemian: w ten sposób publicznie zadeklarowano, że od ministra wymaga się, aby na swem stanowisku dbał nie o interesy kraju, lecz o korzyści jednej grupy; od posła, wybranego w powszechnem głosowaniu, aby interesy ogółu składał w ofierze szczupłej grupie uprzywilejowanych.

Ruch reakcyjny, jaki ogarnął ziemian, został narazie przez inwazję bolszewicką w r. 1920 sparaliżowany. „Pod grozą utraty wszystkiego — stwierdza z chwalebną otwartością Władysław Grabski — zgodzono się na pewne ustępstwa w sejmie i ustawę o reformie rolnej uchwalono znaczną większością

głosów. Ale gdy niebezpieczeństwo minęło, zaczęła się obrona, krok za krokiem, przeciwko możności wprowadzenia w życie ustawy o reformie." I oto rodowód, realizujący łączność pochodzeniową Polski teraźniejszej z Polską dawną, szlachecką, wystąpił z nieodpartą siłą oczywistości: jak ongi, przed laty 150-ciu tak i teraz ziemianie i magnaci nietylko chcieli dyktować rządowi warunki, ale grozili rokoszem, gdy ich nie przyjmował; uchylali się od pożyczek państwowych i płacenia podatków, a jednocześnie domagali się od Państwa siły dla zbrojnego łamania wszelkich wystąpień służby folwarczej, zrywającej się do walki o prawa człowiecze.

Rozumieli przytem, że *w ustroju demokracji, choćby tej demokracji parlamentarnej, mieszczańskiej i kapitalistycznej, którą republika polska przejęła od burżuazji francuskiej sprawa latyfundjów była przesądzona.* I oto wielka własność w Polsce całą wagą swego ciężaru przechyliła się na rzecz prądów antydemokratycznych i antyparlamentarnych. A waga tego ciężaru nie była znikoma. „Trzeba sobie uświadomić — informuje Grabski — że choć ziemianie są nikłą warstwą społeczeństwa, ale rodziny ziemiańskie spokrewnione i skoligacone, są bardzo liczne i najbardziej wpływowe w bardzo wielu sferach, a szczególnie w stolicy, w Warszawie, i że zatem dlatego sposób myślenia ziemiański wywiera w Polsce tak bardzo silny wpływ. Sam on wiele nie może zdziałać, ale w łączności z innemi siłami, (a zwłaszcza z wyższą biurokracją) dużo stanowić może."

2.

Oglądając się za sojusznikiem w walce przeciw sejmowi, ziemianie długo szukać nie potrzebowali. Pierwsze sejmy polskie same — rzekłbyś — uczyniły wszystko, aby podkopać swój kredyt i stanowisko w społeczeństwie. Rzuciwszy wyzwanie obszarnikom, nie umiały zdobyć dla siebie oparcia w rzeszach chłopskich. Uzbroiwszy przeciw sobie kapitał, nie potrafiły zyskać znaczenia w świecie pracy. Gdy nadomiar w wyniku ciągłej wewnątrz sejmu licytacji o władzę, rządy znalazły się dosłownie na bruku ulicznym; gdy pierwszy Prezydent padł ofiarą zbrodni, a sejm bezsilnie w haniebnej apatji, patrzył na to, jak ze zbrodniarza robi się jakieś imię święte, wyrok na parlamentaryzm w Polsce został podpisany. Chodziło już tylko o to kto go wykona?

Ziemiaństwo pomne na przeszłość, która tylekroć była dlań łaskawa, ufało, że i tym razem z zamętu i rozbicia wyniesie swe fortuny nieuszczuplone. Przyczaiwszy się złowrogo, czekało ono, kto stanie do pojedynku z sejmem, licząc przedewszystkiem na partję bogoojczyźnianą, i gotowe pobiec na pomoc zwycięzcom.

Wiemy, kto był zwycięzcą. Obóz legjonowy dobiegł do mety na pięć minut przed tryumfem faszyzmu w jego czystej klerykalno - nacjonalistycznej edycji. Rządy nad Polską objął Józef Piłsudski, poparty siłami całej demokracji ludowej i robotniczej. Ale czy objął je, jako przeciwnik tych, których pokonał? Czy jako współzawodnik tych, których uprzedził? Na to najważniejsze pytanie nikt zrazu nie umiał odpowiedzieć.

To pewna, że o polityce nowego rządu zadecydować miała dopiero jego postawa wobec ziemiaństwa. „Na razie zdawało się — ustala Grabski — że wypadki majowe ziemianom nic dobrego nie przyniosą. Wszak w tych wypadkach socjaliści i inni radykali ludowi byli najbliższymi wspólnikami przewrotu".

Spełnienie postulatów tych wspólników — to przecież jakby zagłada ziemiaństwa. Ale ci wspólnicy zostali wkrótce najpierw między sobą pokłóceni, a później albo odrzuceni na bok, albo oswojeni i poskromieni, a przywołani zostali nowi sojusznicy: ziemianie. Tak rozpoczął się słynny ów werbunek do Czwartej Brygady, której śladem formowały się Piąta, Szósta i następne: ochotników, którzy swego czasu tak skąpo napływali do trzech pierwszych, teraz był prawdziwy i radosny nadmiar.

Bój, który toczył się na froncie reformy rolnej, niepostrzeżenie przeniósł się teraz na front walki o reformę konstytucji, pokrywając lub rugując wszystkie inne, niemniej ważne, zagadnienia natury społecznej, ekonomicznej, oświatowej i kulturalnej. Czyż dziwić się można, że i sama praca nad przebudową Rzeczpospolitej w oderwaniu od podłoża dynamiki społecznej zamarła gdzieś wpół drogi między rentą obszarniczą, a kapitałem monopolistycznym? Dzięki nowej konstytucji, a zwłaszcza nowej ordynacji wyborczej, ziemianie doczekali się momentu, o którym śnili już w Polsce beselerowskiej. Drogami, których przewidzieć nie mogli, doszli do upragnionego ustroju Polski, ustroju, który nietylko sprostał ich ambicjom, ale być może, nawet je przewyższył. *Osiągnęli bowiem formę Państwa jakby żywcem przeniesioną z łona starej oligarchji magnacko - szlacheckiej:* Polskę, w której — jak pisze Grabski — rodzinom ziemiańskim już sam ustrój miał zapewniać „spokój o posiadane majątki ze strony ustawodawstwa krajowego i wpływ na Państwo uniezależniony od przypodobania się wyborcom włościanom, a oparty o autorytet, zgóry do ich dyspozycji stojący, tak jak to z tradycji według ziemian, powinno im przysługiwać".

3.

Renesans ideologji ziemiańskiej obraca się głównie dokoła osi spraw wewnętrznych. Nie znaczy to jednak, aby nie miał on swego wyrazu w polityce zagranicznej, gdy idzie o postawę Polski między Niemcami a Rosją Sowiecką, zwłaszcza zaś gdy idzie o nasze obszary wschodnie. Magnaterja kresowa, jak słusznie powiada Grabski, nie może przebaczyć Polsce współczesnej Traktatu Ryskiego. „Marzy ona o nowym pochodzie Polski na wschód, oczywiście przy pomocy (a właściwie pod komendą) Niemiec, o odzyskaniu dóbr i umocnieniu swego stanowiska wewnątrz Polski". Marzenia te, zdaniem Grabskiego, poważnie przyczyniły się do poparcia przez ziemiaństwo obozu Marszałka Piłsudskiego, w którym sfery obszarnicze widziały symbol nieubłaganej walki z Rosją. Doznały marzenia te silnego uszczerbku, gdy Piłsudski zawarł pakt z Moskwą ale odżyły po porozumieniu następnem z Trzecią Rzeszą. „Jakkolwiek te idee polityczne ziemiaństwa — pisze autor — nazywamy marzeniami, widzę jednak, że one odgrywają pewną rolę".

Tak w pewnej chwili stanęło w Polsce przymierze dwóch żywiołów, stanowiących najdziwniejsze, najskrajniejsze, jakie dałoby się wymyśleć, przeciwieństwo: obóz który wystąpił na podbój niepodległości swego kraju, spotkał się i połączył z obozem ziemiańsko-magnackim, t. j. z klasą, która walki o własne Państwo wyrzekała się zawsze, ilekroć pod obcemi rządami miała zapewniony udział w wyzyskiwaniu chłopa i robotnika. *Civis.*

PRZEZ MISTYCYZM DO FASZYZMU

Tłomacz książki rosyjskiego mistyka Mikołaja Bierdiajewa*), p. Marjan Reutt, gorąco książkę te zaleca czytelnikowi polskiemu. P. Reutt pisze:

„Bierdiajew stawia problemy i rzuca zwarte rozwiązania. Wskazuje czytelnikowi drogę poprzez bogaty labirynt zagadnień".

Jakaż to musi być książka niezwykła, której autor daje „zwarte rozwiązania" najbardziej niepokojących zagadnień naszych czasów!

Szukamy tych „rozwiązań" niecierpliwie. Czytamy stronę po stronie, otoczeni... coraz gęstszą mgłą mistycznej frazeologji.

Najpierw uprzedza nas Bierdiajew, że „wchodzimy w Nieznane i Nieodgadnione, wchodzimy chmurni, bez nadziei i promiennej radości. Przyszłość jest mroczna". Dobrze. To nie nowe. Tysiące Kasandr współczesnych powtarza nam to codziennie. Czy Bierdiajew potrafił rzucić jakiekolwiek światło na „mroczną przyszłość"?

Książka tego mistyka jest typowym, wzorowym przykładem mętności myśli.

„Umysły obdarzone intuicją zwracają się ku Średniowieczu, ażeby tam odnaleźć istotne pierwiastki życia, ażeby tam odszukać człowieka" (str. 18). Uogólnienie — równie śmiałe, jak niepoważne. O jakie „Średniowiecze" tu chodzi?

Nasamprzód — taka oto uwaga: „Przyjmijmy (!) że nasza epoka jest końcem czasów nowożytnych (?) i początkiem nowego Średniowiecza. Nie usiłuję bynajmniej przepowiadać, jakiemi drogami pójdzie historja, chcę tylko problematycznie nakreślić idealne rysy i tendencje, jakie ewentualnie będą cechowały nowy typ społeczeństwa i kultury" (str. 86).

Rzeczywiście, te „rysy i tendencje" zostały nakreślone bardzo ,ale to bardzo problematycznie.

„Kiedy mówimy o przejściu z historji nowożytnej do średniowiecza — jest to tylko obrazowy sposób wyrażania się. Przejście jest możliwe tylko do nowego Średniowiecza, nigdy do starego" (str. 125). Więc poco ta dezorjentująca terminologja? Czytamy dalej:

„Doskonale znamy wszystkie negatywne i naprawdę ciemne strony średniowiecza: barbarzyństwo, gruboskórność, okrucieństwo, przemoc, niewolnictwo, nieuctwo w dziedzinie nauk pozytywnych z zakresu przyrodoznawstwa i historji, religijny teror połączony z obłędnym strachem przed mękami piekła. Lecz wiemy także, że czasy średniowieczne odznaczały się niesłychaną religijnością, cechowała je tęsknota za niebiem, która czyniła narody narzędziem świętego szaleństwa; wiemy, że cała kultura średniowieczna była skierowana ku transcendentnemu, ku „tamtej stronie", że wieki te były okresem wielkiego natężenia myśli w scholastyce i mistyce, natężenia, które miało dać odpowiedź na ostateczne zagadnienia bytu, że czasy średniowieczne nie trwoniły swojej energji nazewnątrz, lecz koncentrowały ją wewnątrz: wykuły one osobowość ludzką na wzór mnicha i rycerza, że w tych barbarzyńskich czasach dojrzał kult pięknej damy i trubadurzy śpiewali swe pieśni. Daj Boże, żeby te cechy przeszły do nowego średniowiecza".

Nie, stanowczo, p. Bierdiajew nie ma poczucia komizmu. Mamy odrodzić Średniowiecze dla „świętego szaleństwa", scholastyki, mnichów, kultu pięknej damy i pieśni trubadurów...

A klątwą naszych czasów ma być to, że myślimy o... środkach życia, nie o celu życia; to grzech główny... socjalizmu: „Idea proletarjatu w imię której przelewa się tyle krwi, która tak fanatycznych ma zwolenników, okazuje się ideą pozbawioną całkowicie treści. Mówi ona o środkach do życia, lecz nic nie mówi o samem życiu. Do celów życia socjalizm dojść nie jest w stanie" (str. 233).

Zapewne, socjalizm nie jest metafizyką, która — zresztą — również nie „dojdzie" do celów życia. Natężenie mistyki średniowiecznej „miało dać odpowiedź na ostateczne zagadnienia bytu", no, ale nie dało.. Sprawa zaś „środków do życia" warta jest niejakiego zachodu, jako że człowiek chce jeść, ubierać się, mieszkać, nie być wyzyskiwany, bez względu na to, jaki jest ostateczny cel życia. P. Bierdiajewowi nie uda się tęsknotą do zaświatów zastąpić chleba i wolności.

W książce Bierdiajewa roi się od refleksyj takiego mniej więcej poziomu: „Idea „postępu" zostanie odrzucona jako zniewaga dla prawdziwych celów życia, „Postęp" przestanie istnieć z końcem nowożytnej historji" (str. 143). Albo:: „Bóg karze ludzi i narody, zsyłając na nie rewolucję" (str. 152), a przedtem: „Wszelka rewolucja jest ohydna" (149), a dalej określenie „ściślejsze": „Rewolucja jest sataniczna" (175), co znów niebardzo godzi się z tezą, że jest dziełem Boga. O rewolucji w Rosji pisze Bierdiajew: „Bóg przekazał, że ośmielę się tak powiedzieć, władzę bolszewikom, aby była karą za grzechy narodu" (str. 168). Rzeczywiście, śmiało powiedziane. Znaczy to, że naprzykład: Bóg — jako karę za grzechy narodu — stworzył... bolszewickie bezbożnictwo. Teza — cokolwiek karkołomna.

W sprawach ziemskich, w świecie walki o „środki życia" znajdujemy w książce Bierdiajewa jedną tylko pozytywną wskazówkę: „Żyjemy — pisze — w epoce cezaryzmu. I znaczenie będą mieli ludzie tylko typu Mussoliniego, jedynego być może twórczego państwowego działacza w Europie, który umiał podporządkować sobie i idei narodowej wojowniczo-gwałcicielskie instynkty młodzieży i dał właściwe ujście energii" (str. 172).

„Właściwe ujście"... A przecież ani działalność Mussoliniego, ani idee faszyzmu nie mają chyba związku z „ostatecznemi celami życia"?

I na to trzeba było zgęszczać mgłę mistycyzmu, na to wytężać „intuicję" w kierunku zaświatów, na to popadać w religijną ekstazę i cofać się do średniowiecznego „świętego szaleństwa", żeby dojść do tego drogowskazu, do pochwały wodza faszyzmu? Mocno to kręta droga...

Bierdiajew zdobył sławę „głębokiego myśliciela". Widać, że o taką sławę dziś nie trudno.

J. Wasowski.

*) *Mikołaj Bierdiajew:* Nowe Średniowiecze. Warszawa, 1936. T-wo Wydawn. „Rój".

KU UCZCZENIU WIELKIEJ POETKI

Przed kilku miesiącami minęło 25 lat od zgonu Marji Konopnickiej. Przypomniano je dość cicho paroma odczytami, na których m. in. padło słowo o konieczności wskrzeszenia spółżycia nowych pokoleń z autorką Pana Balcera. Samopomoc Społeczna Kobiet odezwała się na ten apel i oto 2 lipca zaprosiła na „zebranie wstępne" ludzi znanych

z serdecznego stosunku do twórczości Konopnickiej, wkładając na nich obowiązek stworzenia na jesieni Komitetu, aby urzeczywistnił dzisiejsze poczynania.

Wielbiciele Konopnickiej ustosunkowali się do inicjatywy z zapałem, dając rozrost zamierzeniom i stawiając żądanie rozciągnięcia akcji na cały kraj.

Może nie dosyć uświadamiamy sobie fakt, że w wielkiej poezji narodowej, przywartej potężnemi fragmentami do Wilna, Krakowa, Tatr, Ukrainy, nawet do Paryża, stronicą najwybitniej warszawską jest właśnie twórczość Konopnickiej. Warszawa dała miąższ treści i ostrze idei pod tę dziś jeszcze w duszach nam grającą pieśń. Kiedy jednak poetka zgasła we Lwowie, nawet my, tu, warszawskie działaczki, wysunęłyśmy myśl oddania jej prochów Krakowowi — Skałce, lubo rodzina uważała, że jej uczuciom i sercu samej poetki najbardziej pożądany byłby grób warszawski. Kiedy zaś wkrótce potem, nieżyjąca od roku Laura Pytlińska, postanowiła ofiarować społeczeństwu pamiątki po matce, też zamiast do nas, poszła z niemi do Krakowa. Tak więc i Lwów i Kraków niejako materjalnie uczestniczą w kulcie, Warszawa pod względem pamiątek jest pusta. Komitet postanowił pustkę wypełnić. Posłałyśmy do Krakowa prośbę o oddanie stolicy skrzyń, przez 24 lata nie uprzystępnionych publiczności. List zbiegł się z chwilą, kiedy Kraków bogaci się nowym gmachem muzealnym. W nim czeka Konopnicką — tak nas zapewniono — poczesne miejsce. Trzeba było działać inaczej.

Poza skarbem krakowskim dużo jeszcze pamiątek, listów, rękopisów, portretów tuła się po świecie, po ludziach prywatnych i instytucjach. Muszą się one spłynąć w całość, która kiedyś zostanie nazwana Salą Marji Konopnickiej w Muzeum Warszawskiem. Stworzenia takiej sali i ofiarowanie jej Muzeum Narodowemu, podejmie się właśnie Komitet. A zanim ta sprawa dojrzeje w związku z uroczystościami ku czci Konopnickiej zorganizujemy czasową wystawę, na której liczymy na możność goszczenia i legatu krakowskiego. Uroczystości planowane na jesień obejmą m. in. wmurowanie tablicy na domku we Frascati, ostatniem warszawskiem mieszkaniu Konopnickiej.

Co do obchodów, to odsuwając od nich kostniejącą i coraz zimniejszą formę akademji, chciałybyśmy podprowadzić ku cieniowi poetki całe społeczeństwo, ożywić te dni, głosem dzieci, bo przecie od kilku dziesiątków lat dzieci polskie, poetycko i myślowo, wyrastały na siewie Konopnickiej, dać się szeroko wypowiedzieć Polsce pracującej, Polsce ludu, z którym ona czuła najsilniej.

Program przedstawiony zebraniu uczestnicy poszerzyli nowemi cennemi pomysłami, jak wydanie narodowe dzieł Konopnickiej, pierwsze całkowite (około 30 tomów, poezyj i prozy) dostępne dla wszystkich i zbliżone jeszcze do społeczeństwa przez to, że stanie się doroczną nagrodą szkolną dla młodzieży, zredagowanie księgi pamiątkowej, obejmującej najpierwsze pióra, a związanej z imieniem i kultem poetki, ustanowienie stałej „nagrody literackiej Marji Konopnickiej", za najlepsze dzieła poetyckie, jak istnieje nagroda Orzeszkowej dla dzieł doskonałej prozy, sfilmowanie jej świetnych nowel, i jeśli się da — i Pana Balcera.

Wszystko to podjąć ma Komitet, który zebrani na posiedzeniu w Tow. Literatów i Dziennikarzy zgóry nazwali „Ogólnopolskim Komitetem Uczczenia Marji Konopnickiej"*).

Julja Wieleżyńska.

*) Osoby, które mogłyby udzielić wiadomości co do nieznanych jeszcze pamiątek, pozostałych po Marji Konopnickiej, proszone są o podawanie ich pod adresem: Warszawa, ul. Hoża 28. m. 2 telef. 997-49.

OD DZIECIŃSTWA DO MATURY

(dokończenie)

VII. U METY

Największy smutek i najgorszą rozpacz pierwszych miesięcy po śmierci ojca przetrwaliśmy. Siostra-zakonnica dowiedziała się od stróża, że wśród masy biednych w naszem podwórzu, któremu się opiekowała, przybyła jeszcze jedna, liczna rodzina. Przyszła więc do nas. Zajrzała do szafy, obejrzała się po ścianach, popatrzyła na dzieci, na mnie...

„A matka?" — spytała. „W szpitalu" — odparłam. „To źle — zaczęła zakonnica — mówiono mi, że tu u was straszna bieda, że dzieci są bez opieki chrześcijańskiej wychowywane. Postaram się tych dwoje najmłodszych umieścić w zakładzie św. Kazimierza, a tego chłopca — tu wskazała na Wicka, trzynastoletniego malca — oddamy do Księdza Siemca. On już jest duży. Nauczy go fachu, zrobią z niego człowieka..." „O nie — poczęłam szybko tłumaczyć zakonnicy. — Dziękuję za dobre chęci. Nam nie jest źle, nie mamy jeszcze tak strasznej biedy, byśmy musieli się rozpraszać po zakładach i sierocińcach. Dajemy sobie radę. Dziękuję, dziękuję... Jest wiele innych sierot potrzebujących takiej opieki. My nie. Nie dam żadnego. Niech się „siostra" o nic dla nas nie stara..."

Otworzyłam drzwi, trzęsłam się ze zdenerwowania i strachu.

Wreszcie wróciła do nas matka. Lekarze orzekli, że już jest zdrowa i może być z nami. Wtedy zaczęłam chorować. Długie miesiące nadmiernego wysiłku zabrały mi zdrowie. Matka pokryjomu przedemną poczęła przyjmować bieliznę do prania. „Pomogę jej trochę, mówiła do dzieci — bo nie wytrzyma już tak dłużej. Nie mówcie jej nic o tem". Dzieci milczały. Lecz w krótkim czasie wszystko się wydało. Kuzyni zwiedzieli się o tem, że matka po niedawnym powrocie ze szpitala zabrała się do zarabiania praniem i przyszli „dobrze radzić". Było to w niedzielę. Wróciłam z matką z kościoła.

W domu już czekała „rada familijna". Przywitali matkę, ofiarowali dla dzieci torebki cukierków (gdy jeść nie było nic), zaczęli pokasływać, wycierać na zmianę nosy... Widziałam, że jest w tem coś niewyraźnego, że to wyprawa przeciw mnie. Stanęłam przy kuchni, rękę oparłam o pogrzebacz. Tak, dla pewności. Znałam ich wszystkich przecież. „Ciotka — odezwał się stryj do matki po długim, głośnym ka-

szlu — jak tam zdrowie? A jeść co macie?" — „Ano mamy — odrzekła matka — jakoś żyjemy". — „Bo myśmy tu przyszli — zaczął szwagier — żeby ci może coś poradzić. Słyszymy, że Czesię dalej kształcisz. To niedobrze. Dzieciak, jak dzieciak, zawsze mrzonki w głowie, a tobie bida w oczy zagląda. U Maćkowiaków ponoć swoją wykształcili, a teraz panna na pokaz. W chałupie nic nie robi, bo paznokcie połamie. Roboty w urzędzie dostać nie możemy, a do innej uczciwej pracy nie pójdzie „panienka", bo się wstydzi. Boim się, że i ciebie to spotka. Bo chyba znasz „jenteligencję" i wiesz dobrze, że to lenie, co podnoszą łby do nieba. Zobaczysz, że jak z tą „śkółką" wczas nie skończysz, to tak jak każdy z tej „wyższej klasy", do której się tak dobija Czesia teraz, i ona wami brzydzić się będzie i wstydzić. Teraz póki jej potrzebna to i dobrze, ale potem podniesie kieckie na was i jako urzędniczka nawet spojrzeć ci na siebie nie dozwoli. Wiesz przecież sama jak to jest z „wyższą sferą". Będzie się wstydzić matki-praczki. Nie rób z nią „cacy-cacy" tylko do roboty, bo będzie źle. Przyślim ci radzić, jak rodzonej..." — „Ach wy rodzeni — rzuciłam się na „kochaną" gromadę kuzynów z pogrzebaczem, waląc nim gdzie i w kogo popadło — precz mi z tego domu! Żyliśmy bez waszej opieki i rady dotąd to i teraz nam jej nie trzeba! Wy obłudnicy, lisy, szakale. Fora ze dwora, bo łby porozbijam wam, „dobroczyńcy". Precz z tego domu!..."

Biegłam za „radą familijną", wymachując pogrzebaczem, aż na ulicę. Tu dopiero zreflektowałam się, odpoczęłam, opuściłam pogrzebacz i wróciłam do domu. Matka siedziała skulona przy kuchni z opuszczoną głową. Gdy weszłam, westchnęła. „Dobrze, bardzo dobrze zrobiłaś — szepnęła — teraz przyszli radzić, gdy co najgorsze za nami, a kiedy tyś nie jadła po trzy dni, by Gabrysiowi dać mleka i dzieciom sucharów, to nie przyszli pomóc. Dobrze, dobrze"... — Odetchnęłam z ulgą, bałam się przecież, że będzie miała do mnie żal za swoją „skrzywdzoną" rodzinę, a jednak wzięła moją stronę. „Dobrze" — powiedziałam i ja. Biedaczka coprawda miała tak zszarpane nerwy, przytem tak mocno zakorzenione zasady „naszej klasy", że nieraz, gdy głód zaczął do izby zaglądać, narzekała, że to wszystko przeze mnie i moją pychę. „Ja wiem— mówiła wtedy — tak cię „tam" nauczyli już, śkółka to robi... Żebyś się wzięła do jakiejś porządnej roboty stałej, to inaczej byłoby. Ale teraz zapóźno. „Hrabiankę" wychowałam. „Panienkę". A ja przez to głód cierpię z dziećmi. Moja córka niedługo palce będzie lakierować, a ja z drobiazgiem pod kościół iść muszę. Ale śkółka, jenteligencja być musi. Bo jakże? Rację miał szwagier i za to, że taki prosty chłop, jak nasz ojciec na Bożym sądzie, to pogrzebaczem dostał. O ja nieszczęśliwa".

Lecz, gdy znów przyniosłam pieniądze za lekcję i znów był chleb, sól, mąka i kasza, wtedy matczysko płakało z radości i dumy. Tak na zmianę, zależnie od moich zarobków byłam „perłą" i pociechą lub „hrabianką" i „panienką".

Przyszły wakacje. Dostałam promocję do klasy siódmej.

Musiałam się teraz więcej sama uczyć, nie miałam więc już tyle korepetycyj. Było ciężko. Matka już sama prać nie mogła, nie miała siły. Stawałyśmy więc od wieczora do świtu dwa razy w tygodniu razem do balji, byleby coś zarobić, byleby nie oddać dzieci do zakładów. Straszne to były zapasy z ciernistym losem. Ręce mi omdlewały, głowa pękała z bólu, nogi się uginały. Mimo to jednak od czasu do czasu głód wciskał się do izby. Matka piekła wtedy kartofle pod popielnikiem dla dzieci, trzy razy je liczyła, zanim rozdzieliła między małe, a my obie patrzyłyśmy jedna na drugą i ukradkiem ocierałyśmy sobie łzy. Ze znalezionego kawałka cykorji przyrządzałyśmy herbatę, byleby choć kolorem oszukać oczy. Dni takie zdarzały się wtedy, gdy nie wypłacono nam za pranie lub mnie za lekcje. Wychodziłam wtedy na ulicę, błąkałam się wśród domów i przed każdą wystawą cukierni czy sklepu spożywczego wykręcałam głowę w przeciwną stroną, by nie myśleć o tem, że w tym czasie gdy matka moja liczy pieczone ziemniaki, z tych jasnych, pachnących sklepów idą paki słodyczy, łakoci i przysmaków do ciepłych, wygodnych domów w ręce i żołądki tych, którzy czują przesyt. Że ludzie jedzą wtedy ciastka, gdy moje maleństwa i matka nie mają skórki chleba. Było mi wtedy bardzo ciężko. Budził się we mnie bunt. Za naszą nędzę, za nasz głód. Wracałam do domu po takim spacerze niezmiernie czuła i serdeczna dla matki, za to, że „tamtych" nienawidzi. Patrzyła na mnie zdziwiona i pytała: „co ci się stało? Może za lekcję ci zapłacili?". — Nie matko — myślałam — złączyła z tobą wspólna nienawiść do tamtych z pełnemi brzuchami, do tych, co mówią: „niech panienka poczeka dni parę na pieniądze. Dziś nie mam. Trafiła mi się okazja kupienia sukni, modelu. Myślę, że panience kilka dni różnicy nie zrobi". — Przeklinałam w takiej chwili razem z „naszą klasą" tamtych, „wyższą sferę", burżujów, inteligencję i siebie, za to, że przecież ja sama do nich zmierzam, sama chcę stać się cząstką tej „wyższej sfery". Potępiałam siebie wtedy, za swą krótkowzroczność, za swoje opętanie, za to, że dałam się tak ogłupić, otumanić.

Dokuczał mi głód... Były jednak i jaśniejsze chwile. Ogień buzował na kominie, trzy ciemne głowy, schylone nad stołem, pracowały nad zadaniami, matka siedziała na stołeczku z Gabrysiem na kolanach, ja z Kazią cerowałyśmy pończochy i bieliznę, z garnka buchał przyjemny zapach kapuśniaku na wieprzowych kościach... Takie błogie chwile zdarzały się jednak bardzo rzadko. Było mi wtedy niewymownie dobrze. Zapominałam o troskach i bólach, o upokorzeniach i biedzie. Cieszyłam się, że już niedługo będę miała maturę, że wyciągnę z nędzy wszystkich moich najbliższych.

Na progu klasy ósmej z radości i dumy nie wiedziałam co robić, jak się zachować. Już tylko 10 miesięcy do matury. Matura, potem posada, wyzwolenie z nędzy. Dawałam znów korepetycje, pomagałam matce i przygotowywałam się do matury. Zauważyłam jednak, że czem więcej cieszę się ze zbliżającego się końca naszej nędzy, im śmielsze snuję marzenia o posadzie głośno przy matce, tem więcej biedne moje matczysko zaczyna się niepokoić, denerwować i dokuczać mi. Znów jestem „panienką", „hrabianką", „z wyższej sfery". Coraz częściej matka zaczyna wyrażać swoje obawy, że ją porzucę, zaczyna przy lada okazji narzekać, płakać. Dzieci, słysząc od lat ciągle powtarzane te słowa, poczęły mówić to samo. Było mi trudno w domu wytrzymać.

Płynął dzień za dniem wśród ciężkiej pracy

w szkole, w domu i na korepetycjach. Zbliżył się kwiecień. Został tylko miesiąc do matury. Nie mogłam już teraz się spokojnie uczyć. Wszyscy w domu zdenerwowani niedostatkiem tem większym w ostatnich miesiącach, że już nie mogłam dawać tak dużo korepetycyj, jak dawniej. Ciągły lęk przed egzaminami, ciągła niepewność i ciężkie warunki zrujnowały mi nerwy. Zrywałam się, biegłam do okna zobaczyć ulewę. Wracałam zdziwiona na swoje miejsce, gdy zamiast deszczu zobaczyłam ciepły słoneczny dzień. „Ulewa" ta jednak dokuczała mi często. „Deszcz wielki pada mi w głowie" — skarżyłam się. Czasem znów bez przyczyny wybuchałam głośnym śmiechem. Śmiałam się nieraz długo, długo.

Wreszcie już tylko kilka dni do matury, już trzy dni, dwa dni, już nazajutrz. Złożyć egzaminy, dostać maturę, potem posadę, położyć kres nędzy, mojej rodziny i przekonać wszystkich i siebie, że trud, męka, praca, upokorzenie, łzy i wszystko co przeżyłam od dzieciństwa, aż po zbliżający się dzień jasnego jutra, to nie były ambitne mrzonki, to nie były ciernie potrzebne dla zdobycia dla siebie samej wygodnej przyszłości... Aktem maturalnym przebiję grube żelazne drzwi, odgradzające moich bliskich od światła, od słońca, od całego świata. Tam, za temi drzwiami czeka nas jasny słoneczny dzień. Napewno dostanę gdzieś posadę, przecież to niemożliwe, by ciężki trud tylu lat poszedł na marne. Maturę otrzymałam. Przeszedł lęk i strach.

Pierwszy etap walki o jutro skończony*).

Czesława Kamińska.

---

*) *Sprostowanie:* w n-rze poprzednim na str. 10-tej, szpalta 3-cia, zamiast „Stasia" powinno być „Czesia".



W TEATRZE

Dyrektorowie teatrów, rzekomo na mocy długoletniego doświadczenia doszli do szczególnej psychologicznej prawdy, która coprawda wymagałaby sprawdzenia. Oto jakoby latem ludzie nie lubią myśleć, ani wzruszać się, ani przejmować artystycznie. Jakoby tylko chłód sprzyja poważnym zainteresowaniom. Nie wiem czy psychologom znajome jest to prawo, ale to pewne, że wpływa ono decydująco na układ teatralnego repertuaru. Zatem pokazują nam sztuki „beztroskie", t. zn. najczęściej bezmyślne i nudne.

Taką to sztuczkę, tyle że okraszoną muzyczką pokazano nam w Teatrze Letnim. Ratuje ją to, że w przeróbce Hemara jest tam wielka rola dla Dymszy. Kult dla Dymszy jaki ma Warszawa, aż nadto dobrze świadczy o jej smaku artystycznym, jakość, gatunek humoru tego wybornego artysty uspakaja najwybredniejsze gusta. Jest to produkt wybitnie rodzimy: warszawski knajak podniesiony do n-tej potęgi. Gdyby Polska stała się modną zagranicą, typ ten mógłby zyskać uniwersalną popularność. Ta mieszanina pociesznej wykwintności i prostactwa, chytrości i głupoty, skłonności do wszystkiego co niedozwolone i poczciwości, ruchy podlegające innym prawom, niż ruchy zwykłych ludzi, mocna dawka szaleństwa, czynią z postaci stworzonej przez Dymszę twór prawdziwego artysty. Niestety, aż nazbyt często w teatrze, Dymsza gra z niepotrzebnym tłumikiem, bywa jakby onieśmielony i przez to nie osiąga należytego efektu. Tak się też rzeczy miały w „Podwójnej buchalterji". Zresztą podobno na dalszych przedstawieniach rozegrał się i rozszalał.

Teatr Narodowy wystawił dobrze zrobioną i kulturalną komedję Molnara „Wielka miłość", którą grała niedawno w Warszawie trupa wiedeńska ze znakomitą Lili Darvas, Hansem Jarayem i Friedą Richards. W tem wykonaniu, gdzie czuło się zupełne wżycie się z intencjami autora i bardzo istotne wniknięcie w każdą rolę, sztuka była zajmująca. W wykonaniu polskiem miła ta i na dobrym poziomie komedja straciła wiele przez błędną grę. Wiele już razy zastanawiało mnie jakim sposobem nasi wyborni artyści i inteligentni reżyserzy mogą do tego stopnia nie wnikać w tekst i grać co innego niż napisane.

Bohaterką „Wielkiej miłości" jest młoda dzielna kobieta, despotka, która własną energją ułożyła życie swoje i młodszej siostry, stworzyła wybornie prosperujący magazyn mód i przyzwyczaiwszy się komenderować, postanawia z właściwym sobie zmysłem organizacyjnym ułożyć życie tej siostrzyczki i młodego inżyniera. Typ kobiety, którą kochają, ale której się boją, autorytatywny, pewny siebie i choć rządzący się sercem często bezwzględny. Zamiast tego, od pierwszej chwili p. Eichlerówna uderzyła w jakiś niezrozumiały ton cierpiętniczy, mówiła głosem matowym i miękkim, chodziła zgarbiona i z tej organizatorki życia zrobiła ofiarę losu.

W dalszym ciągu Molnar pokazuje jak młoda despotka ostro dostaje po ładnym nosku. Siostra i jej narzeczony ulegając jej pozornie, mają poza nią zupełnie osobne życie. Ona sama, chcąc zastosować wszystkie swoje metody szefa magazynu i wychowawczyni do obcego człowieka, przegrywa partję, zakochuje się sama, co wcale nie wchodziło w jej rachuby i traci swoją olimpijską równowagę, którą ujarzmiała wszystkich. Wreszcie i ona: dumna i zamknięta w sobie, opanowana i pozornie zimna, silna i pewna siebie załamuje się i wybucha, wyznaje niepotrzebnie swoją beznadziejną miłość i jak każda inna kobieta jest złamana, nieszczęśliwa i gotowa do poświęceń. Scena ta, brawurowo odegrana przez Lili Darvas, u nas zupełnie przepadła. P. Eichlerówna od początku dawszy inną figurę, niż zamierzył autor, nie mogła w kulminacyjnej scenie wydobyć żadnego kontrastu, była monotonna od początku do końca.

Podobnie ostatnia odsłona: małżeństwo Marity, to akt rezygnacji i rozsądku i tej samej manji organizowania i porządkowania życia. Marita p. Eichlerówny zbyt wesoło zdawała się brać swój los.

Osterwa był zajmujący, ale znowu to nie ta postać, o którą chodziło. To nie powinien być myślący pan, który poprzez trudy i ciernie zdąża do upatrzonego celu, ale lekkoduch, rozkosznie lekkomyślny, ujarzmiający młodością i bezmyślnością pełną wdzięku. Młodość, młodość, oto jest klucz do tej roli.

Ćwiklińska we wdzięcznej roli ministrowej, t. zw. „samograju", wydobyła wszystko co należało, ale nie

dołożyła ponadto nic więcej. A rola to przemiła, niczem niepotrzebna akcji sztuki, ale bez niej komedja straciłaby wiele soli i pieprzu.

Mile i trafnie zagrali swoje role p. Kajzerówna i p. Milecki. W sumie „Wielka miłość" stanowi dodatnią i sympatyczną pozycję w kulawym repertuarze T. K. K. T. *Irena Krzywicka.*

F I L M

FILM PLASTYCZNY W KINIE „BAŁTYK"

(Audioskopiks)

Zwykle po jakimś wielkim przewrocie technicznym w dziedzinie filmu wydaje się, że powracamy do pierwszych dni „Dziesiątej Muzy". Bo rozpoczynają się wtedy serje filmów eksperymentalnych, przypominających do złudzenia czasy „iluzjonu".

Tak było z filmem barwnym, tak było z filmem mówionym. Jeśli jednak chodzi o nowy film „plastyczny", to złudzenie „iluzjonu" pozostaje, chociaż niema tu mowy jeszcze o żadnej rewolucji technicznej.

Film „plastyczny" tego gatunku, to rzecz bynajmniej nie nowa, nawet w Warszawie.

Już kilka lat temu kino „Stylowy" wyświetlało film, oparty na tej samej podstawie technicznej.

Sposób osiągnięcia trójwymiarowości zapożyczono od *„teatru cieni"*, gdzie widok podwójnego, dwubarwnego cienia „uplastyczniono" zapomocą okularów zielono - czerwonych.

W ten sposób dawano widzowi złudzenie, że cień butelki jest prawdziwą, trójwymiarową butelką, lecącą mu prosto na głowę.

Film „plastyczny" w kinie „Bałtyk" ma również podwójny, nakładany i dwubarwny obraz, który uplastyczniają widzowi zielono - czerwone okulary.

Dlatego możliwe jest, że kobieta na huśtawce wjeżdża gdzieś za ekran a potem wylatuje na widownię i zachodzi obawa, że kopnie nas nogą w podbródek.

Dlatego mysz na pałeczce magicznej wyczarowuje się pod samym nosem widza, a piłka sportowca leci prosto w oko.

Dlatego woda z syfonu leje się na twarz, a karabin mordercy strzela do nas bezpośrednio.

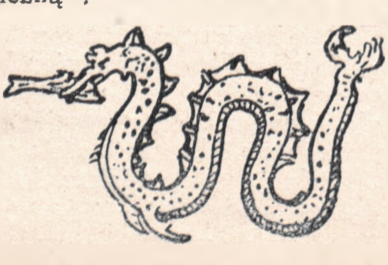
Ale ten rodzaj filmu nie stanowi przewrotu w filmie.

Eksperymenty z okularami są dziś podobne do eksperymentu chodzenia na nogach.

Zwłaszcza, że dokonano już rewolucji technicznej, wynalazku filmu trójwymiarowego — bez konieczności używania okularów.

„Eksperyment" kina „Bałtyk" trwa około dziesiąciu minut i zapowiadany był bardzo pompatycznie.

Czy to misjonarze przyjechali do warszawskich dzikusów, aby im pokazywać „cuda nieznane", tak, jak murzynom z Afryki Centralnej pokazuje się „latarnię magiczną"? *Kaz. L.*



DYREKTOR.*)

Dużą pomocą w tem wszystkiem była mu żona.

Rozstał się bowiem przed pięcioma laty z poczciwą, niemłodą, mało elegancką kobietą, która zapewne odegrała w jego życiu dobrą rolę, ale w młodości i w rosyjskiej ojczyźnie. W nowych warunkach, wobec potrzeby „wmontowania się" w aparat nowej, polskiej ojczyzny, okazywała się „nie na miejscu": zbyt ciężka, zbyt naiwna, mało dowcipna i wogóle dziwaczka. Odeszła z wielkim żalem i uprowadziła dorosłą prawie córkę, udzielając mu zresztą rozwodu niemal bez słowa. Wypłacał jej skrupulatnie niewielką sumkę na utrzymanie w małem prowincjonalnem miasteczku, gdzie miała krewnych.

Nowa żona spadła mu jak z nieba. W błyskawicznem tempie organizowała jego karjerę w nowej ojczyźnie. Wogóle jego życie szło teraz w błyskawicznem tempie. Młoda, wyzywająco przystojna kobieta nie traciła czasu.

Spotkał ją w gronie swych nowych przyjaciół na jednym ze zjazdów społeczno - politycznych. Zaimponowała mu odrazu bystrością umysłu.

Siedzieli właśnie w grupie kilkunastu osób i pili w restauracji szampana, gdy ktoś z obecnych zaczął wspominać czasy wojenne. Wywiązała się stąd rozmowa, kto i gdzie był.

Baczyński asystował bardzo pannie Zosi i nie bardzo też śledził wątek rozmowy. W pewnej chwili szepnęła mu do ucha:

— Gapi się pan! Towarzystwo legjonowe! Musi pan tu coś skłamać!"

Osłupiał z podziwu: dotychczas jeszcze nie próbował tej drogi. Przyjrzała mu się uważnie i oceniła od jednego spojrzenia, że nie potrafi zręcznie i celowo kłamać. Wyczekała tedy chwilę, a potem opowiedziała towarzystwu przezabawną historyjkę o swo im wuju, który razem z tym oto panem Baczyńskim schował podczas rewizji skład broni w łóżku chorej na fluksję ciotki, której sam widok zniechęcił młodych żandarmów do dalszych poszukiwań. Towarzystwo — podgazowane — wypytywało o weselsze szczegóły i tak oto Baczyński został „niepodległościowcem".

Był wprawdzie moment, kiedy bystrość umysłu Zosi sprawiła mu dużo mniejszą przyjemność.

Baczyński zapoznał się z jej rodzicami (zrujnowana ziemiańska rodzina z Podola); brał stuprocentową pannę, śliczną dwudziestodwuletnią dziewczynę.

Po ślubie, rozanielony, dokonał pewnego odkrycia, które zwarzyło mu humor.

— Zosiu — powiedział kwaśno — nie mam żadnych pretensyj, oczywiście... — Długo milczał. — Ale mogłaś mi powiedzieć!

Odwróciła się ostro do ściany i odpowiedziała krótko, ucinając łeb niepotrzebnej rozmowie:

— Mój drogi! Nie umiesz się rozpoznać!

Zamilkł z podziwu: nie spotykał jeszcze takiego tupetu. Ale nie poruszył już drugi raz tej kwestji.

Zosia zaś już nazajutrz oświadczyła mu, wstając:

— Małżeństwo, mój drogi, porządne polskie małżeństwo, musi mieć dzieci! Staraj się o to piorunem! Jedź do wód albo jak, jeżeli nie jesteś siebie pewny: jesteś dużo starszy odemnie. Ja przeznaczam na to macierzyństwo tylko pierwszy rok!"

*) Rozdział z przygotowanej do druku powieści *Haliny Krahelskiej.*

Pod urokiem tej djabelskiej dziewczyny, Baczyński starał się, jak mógł. Miała więc z nim dziecko, syna.

Karmiła go dwa tygodnie, poczem odstawiła od piersi i zajęła się swym biustem. W jednym dniu były dwie odrębne narady: jedna, dotycząca pielęgnowania biustu i doprowadzenia go do idealnego kształtu po doznanych zmianach, druga — hodowli syna przez pielęgniarkę i sztuczne żywienie. Gdy zaś Baczyński próbował wtrącić do opinji lekarza i swoje zdanie, że jednak trzeba jeszcze małego karmić mlekiem matki, Zosia spiorunowała go spojrzeniem i kategorycznie odrzuciła wszelkie dalsze rozmowy na ten temat:

— Moje czy panów piersi wchodzą tu w grę?! Więc szkoda gadania!

Baczyński usunął się: to była indywidualność!

Po urodzeniu syna pani Zosia zajęła się montowaniem karjery męża (i własnej sytuacji materjalno-towarzyskiej) na własną rękę.

Umiała to pierwszorzędnie.

Gdy potrzeba było pozyskać sobie poparcie czy sympatję osób starszych i o pojęciach więcej starodawnych, pani Zosia wybierała się z wizytą w skromnej gładkiej sukience z twarzyczką pozbawioną wszelkiej szminki; całowała starsze panie w rękę, nie lubiła współczesnej sztuki, a już broń Boże — literatury!

— Może to śmieszne, może jestem staromodna na swój wiek, ale dla mnie niema lepszej lektury, jak Rodziewiczówna...

Nikt jej wprawdzie nie wierzył, ale uważano to za miłe.

Gdy zaś trzeba było uzyskać jakąś przychylną opinję o mężu w urzędzie, zbierała skrzętnie wszystkie wiadomości o danym (zawsze wysokim) urzędniku i wówczas, odpowiednio ubrana, przychodziła w tej sprawie do biura. Sposoby jej były jednostajne, nie trudziła się nad ich urozmaiceniem, bo nie było potrzeby: działały. Siedząc, w rozmowie, zakładała nogę na nogę i w pewnej chwili podnosiła sukienkę tak, żeby było widać nogę wyżej kolana. Obliczenie było bezbłędne: jeżeli natrafiała na cnotliwego, skromnych obyczajów pana, no to najwyżej spuszczał oczy i nie reagował na tę zaczepkę. To się zdarzyło pani Zosi tylko raz, na niezliczoną ilość takich wizyt. W przeważającej liczbie wypadków zaczepkę tę — mniej lub więcej aktywnie — przyjmowano i albo wystarczał sam widok nóżki dla uzyskania potrzebnej opinji, albo następowało pogłaskanie nóżki, albo — i to najczęściej — małe spotkanie, krótki wyjazd za miasto.

Pani Zosia zapatrywała się na to filozoficznie: „Nie ubędzie mi", „Nie zabiorę tego do grobu" — to były jej aforyzmy.

A sprawy bywały załatwiane i karjera posuwała się naprzód.

Czy Baczyński o tem wiedział? Pozostaje to tajemnicą. Ale gdyby wiedział, należy sądzić, że przyjąłby i to na rachunek ofiar i poświęceń dla ojczyzny, którą już naprawdę kochał!

Pani Zosia była też specjalistką od urządzania obiadów z potrzebnymi ludźmi. Wszystko wtedy bywało „ef-ef". Potem brydż i w saloniku, i w buduarze. Sama u siebie na przyjęciach nie grywała. Musiała czuwać. Czuwała precyzyjnie.

Gdy pito, umiała spojrzeć na obiecującego dyrektora departamentu, podnieść kieliszek w górę i wypić zdrowie... „pana ministra". A gdy oponował, że nie, że wcale nie zanosi się, uśmiechała się łagodnie i znacząco i mówiła:

— Że nie, to wiemy. Ale będzie pan, będzie!

Dziesiątki wpływowych i często niegłupich panów pozyskiwała sobie właśnie w ten sposób.

I z kobietami umiała sobie radzić. Czasem, siedząc przy wpływowej pani, nagle podnosiła jej rękę (czasem — łapę niedźwiedzią!) i mówiła półgłosem:

— Ta linja! Bardzo oryginalne...

Gdy w polowaniu w majątku ich wziął udział minister (czasem taki biedak w półsetce wieku dopiero zaczynał się orjentować w polowaniu), — umiała rzucić uwagę:

— Pan minister ma w sobie to naturalne zrastanie się z przyrodą! To rasowy myśliwski dar!

Minister, zadając sobie piekielny trud takiego szkolenia w późnym wieku, notował tę uwagę w bardzo wdzięcznej pamięci — to było miłe, zręczne, to wdzięcznie brzmiało w powietrzu, to robiło dobry nastrój, dodawało humoru!

Tak więc posuwała się w życie młoda pani Baczyńska, a odmłodzonemu teraz Baczyńskiemu świtała już w marzeniach Polonia Restituta...

H. Krahelska.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

SOBOTY HITLEROWSKIE

Sobotnie popołudnia w lecie stanowią od dłuższego czasu ulubiony dzień działania hitleryzmu. Przypomnijmy z ostatnich czasów: sobotę 30 czerwca 1934 r.— masakra Roehma i towarzyszów, sobota 16 marca 1935 r. słynny „manifest" Hitlera o równouprawnieniu Niemiec w dziedzinie zbrojeń sobota 7 marca 1936 — zbrojne wkroczenie do Nadrenji. Do tej listy wydarzeń z niedawnej przeszłości należałoby może dodać gorące popołudnie z czasów I-ej Rzeszy w sierpniu 1914 roku, kiedy wojska cesarza Wilhelma II wkroczyły na ziemię francuską. Przypomnienie to naprasza się, gdy do dat dziejów hitleryzmu dodamy dwie soboty z ostatnich 2 tygodni, a więc — 11 lipca — układ austrjacko-niemiecki — i dnia 18 lipca dekret senatu p. Greisera, znoszący de facto statut wolnego miasta Gdańska. Trudno powiedzieć, aby wszystkie te soboty były niespodziankami, chociaż często przerywają one najpiękniejsze week-ende'y tym, którzy nie chcą nic wiedzieć o otaczającym ich świecie, zamykają oczy na rzeczywistość, a w każdym razie nie sądzą, że po jednej sobocie hitlerowskiej przyjdzie następna.

Największą niespodzianką dla szerokiej opinji publicznej był do pewnego stopnia układ austrjacko - niemiecki. Wprawdzie od dłuższego czasu krążyły wieści o jakichś bardzo poufnych rokowaniach między Berlinem a Wiedniem, prowadzonych oczywiście początkowo za pośrednictwem pałacu Weneckiego w Rzymie, jednak do ostatniej chwili nie wierzono w dojście do porozumienia pomiędzy III-ą Rzeszą, zmierzającą do wchłonięcia w siebie wszystkich Niemców na świecie, a republiką Austrjacką, której jeden z filarów kanclerz Dollfuss stracił życie w walce z hitleryzmem. Były agent wojenny Niemiec w St. Zjednoczonych von Papen uwijał się wprawdzie między Monachjum a Wiedniem,

ministrowie austrjaccy zwiedzali riwjerę włoską, krążyły jakieś listy i depesze, ale... wszystko to nie wyglądało zbyt poważnie. Italja wraca do Europy — mówiono — Mussolini trzyma straż nad Brennero, a Hitler nie może uznać suwerenności nieshitleryzowanego państwa niemieckiego nad Dunajem, a więc nic z tego nie będzie. Tymczasem rachuba okazała się zawodna. Włochy po zwycięstwie nad Abisynją mają z nią tyle kłopotów, że pomimo głośnych frazesów do Europy wrócić w pełni sił nie mogą. Wszystkie gesty angielskie, ułatwiające ten powrót polityce włoskiej, cała kurtuazja polityki francuskiej w tej kwestji nic nie pomogą. Uwięzły Włochy w Afryce wschodniej i, gdyby nawet Dunikowski w San Remo nauczył ekspertów włoskich, jak zwiększyć produkcję złota ze skał i piasków abisyńskich, to nie pomoże: Italja w obecnem swem położeniu musi szukać odciążenia w Europie, aby mieć wolne ręce w Afryce. Stąd presja idąca z gabinetu Mussolini'ego na Wiedeń, aby „dogadał się" z Berlinem. Wzajemne umizgi pomiędzy Niemcami a Włochami doprowadziły do układu z dnia 11 lipca który nawet niema nazwy bo nie wiadomo, czy go zawarto w Berdstesgaden, czy w Wiedniu. Dość, że ogłoszono go równocześnie w Berlinie i w Wiedniu przez radjo. Od tej chwili Niemcy godzą się z istnieniem państwa austrjackiego, w którem hitleryzm stanowi nielegalną partję, a republika Austrjacka działać ma jako państwo niemieckie. Wszystko, co z tych ogólników wypływa, ma przyjść później w postaci amnestji dla hitlerowców w Austrji, dopuszczenia turystów niemieckich do Austrji, układu handlowego i t. p. W układzie tym żadna ze stron w gruncie rzeczy nie ma zamiaru dochować lojalnie zobowiązań. Jeżeli mówimy żadna ze stron, myślimy nie tyle o Austrji i Niemczech, ile o Austrji i Italji, która choć nie figuruje w układzie bezpośrednio, ale jest oczywiście jego inspiratorką. Hitler sądzi, że wystarczy osłabienie walki z hitleryzmem w Austrji i wepchnięcie do rządu wiedeńskiego jednego lub dwóch pół-hitlerowców, aby można było zasiąść na Ballplatzu, bez puczu. Mussolini uważa, że wystarczy zaprezentować Zachodowi swoje najlepsze z Niemcami stosunki, aby strach blady padł na Londyn i Paryż; aby można było osiągnąć wszystko od uznania aneksji Abisynji ,aż do kapitałów zwycięscy potrzebnych. Kanclerz Schuschnigg i jego przyjaciele nie wiele mają do wyboru, ale pocieszają się, że przecież: 1) III-a Rzesza uznała Austrję i dopuści markowych turystów do Tyrolu, 2) Mussolini nie dopuści do zagarnięcia Austrji przez Hitlera. Rząd austrjacki głosi szeroko, że nacjonal-socjalizm jest nadal zakazany w Austrji. Pomimo to część więzionych hitlerowców austrjackich już znalazła się na wolności, a w obozach legjonu austrjackiego w Niemczech robi się wielki ruch, bo ich mieszkańcy przygotowują się do najazdu na swoją własną ojczyznę.

Jeżeli układ ten był, jak wspomniano wyżej, niespodzianką, to już wydarzenia następnej soboty nie miały w sobie nic nieoczekiwanego. Wbrew opinji różnych znawców nowej modnej gałęzi wiedzy zwanej „geopolityką" po układzie z dnia 11 lipca mówiono powszechnie: Hitler zwolnił sobie ręce na południu, wobec Austrji, aby uzyskać swobodę ruchów na północo-wschodzie. Na sprawdzenie się tej prostej przepowiedni czekaliśmy akurat siedem dni. Dnia 18 lipca senat pana Greisera ogłosił zarządzenia, których treść istotna zawiesza istniejącą w wolnem mieście Konstytucję gdańską.

Użyto dla tego celu bardzo oryginalnej formy nigdzie jeszcze nie praktykowanej, opartej na „interpretacjach" prawa. Mianowicie, senat gdański, powołując się na pełnomocnictwa udzielone w 1933 r. innemu senatowi przez inny sejm gdański, wydał zarządzenia których mocą każda organizacja i każde stowarzyszenie mogą być rozwiązane, a nadzór nad życiem politycznem spoczywa w rękach osobnej policji, której szefa sprowadzono z Berlina w osobie p. von Grützner, bezpośrednio uzależnionego od wszechmocnego przywódcy niemieckiej „Gestapo" Himmlera. Są podobno tacy politycy w Polsce, którzy mówią, że wszystko to dzieje się poza zakresem interesów Rzplitej, że nie możemy wtrącać się do spraw wewnętrznych Gdańska. Każde dziecko nawet zrozumie, że jest to twierdzenie zupełnie fałszywe i że interes Rzplitej jest głęboko naruszony dekretem p. Greisera. Ale gdyby taki polityk upierał się przy swoim „egoiźmie narodowym", to może zechce uwzględnić chociaż to, że dekret Greisera godzi we wszystkie instytucje i stowarzyszenia polskie w Gdańsku, uzależniając ich byt i los od kaprysu delegata berlińskiego w tem t. zw. „wolnem mieście".

Pocóż zresztą obwijać rzeczy w bawełnę: po sobocie hitlerowskiej w Gdańsku z dnia 18 lipca, oczywiście, o ile to posunięcie uda się, nastąpi jakaś bliższa lub dalsza nowa sobota.

Profesor Otto Maull, redaktor hitlerowskiego czasopisma „Zeitschrift für Geopolitik" dostarczy Greiserowi i jego przyjaciołom materjałów, aby odpowiedni „dekret" uzasadnić.

Musi raz choć hitleryzm natrafić na opór. W sprawie gdańskiej mogłoby to obecnie przyjść najłatwiej, bo zbiega się tu całkowicie interes Rzplitej z interesem mocarstw zachodnich i zachwianej w posadach, ale istniejącej jeszcze Ligi Narodów. Pomimo wahań polityki angielskiej, pomimo, że chwilami tak świetny jej znawca, jak były uczestnik konferencji wersalskiej Nicolson pyta „czy Anglja ma wogóle jakąś politykę?"; można być pewnym, że W. Brytanja przyklaśnie wszelkiej akcji, która wstrzyma rozwój i rozrost ponurej niszczącej i burzącej pokój siły hitleryzmu.

Jednocześnie z awanturą p. Greisera w sobotę dnia 18 lipca podjęli awanturę monarchiści i faszyści hiszpańscy. W republice hiszpańskiej wre i dudni bez przerwy. Niedawno popełniono tam dwie zbrodnie partyjne: bojówki faszystów zastrzeliły b. posła porucznika gwardji cywilnej Castillo, grupa gwardzistów przez zemstę zamordowała w ohydny sposób posła monarchistę Calvo Sotelo. Wydarzenia te przyśpieszyły, jak zdaje się, wybuch spisku, który zalewa krwią znowu Hiszpanję. Gen. Franco podjął bunt na czele wojsk kolonjalnych w Maroku, opanował kolonję i wtargnął desantem na wybrzeże południowe. W poszczególnych miastach półwyspu spiskowcy przyłączyli się do rewolty. Likwidacja buntu w kolonji afrykańskiej będzie trudniejsza, natomiast na półwyspie rząd zreorganizowany w dniu zamachu pod kierunkiem admirała Girala wsparty przez klasy pracujące, przez wojsko wszelkich rodzajów broni wbrew części oficerów opanowuje całkowicie sytuację. Te krwawe dni przyśpieszą rozwój wydarzeń w Hiszpanji: nowa republika stanie jeszcze wyraźniej przy hasłach i programie Frontu Ludowego. Taki będzie zapewne wynik buntu generała Franco. W walce tej nowe siły społeczne dochodzące do władzy w Hiszpanji okrzepną, zmężnieją i ze swych silnych dłoni nie wypuszczą już steru nowej Hiszpanji. Sobota faszystowska na półwyspie Pirenejskim trafiła na opór. Oby na kontynencie europejskim „soboty hitlerowskie" wreszcie znalazły przeciwwagę!

C. D.



WYDARZENIA I DOKUMENTY

Z MOWY GEN. DRESZERA

Jedno z pism prowincjonalnych przypomina mowę gen. Orlicz-Dreszera, wygłoszoną rok temu na odbytym w Krakowie zjeździe Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Z mowy tej przytaczamy następujące wyjątki:

„Nie jestem demagogiem, ale człowiekiem, który uważa, że spojrzeć na rzeczywistość śmiało i odważnie jest obowiązkiem każdego człowieka, który chce, żeby było lepiej. Człowiek, który unika rzeczywistości, który sam przed sobą kłamie, który maluje ją przed sobą, jako lepszą, niż jest — jest człowiekiem, który boi się czynu".

„Ja myślę, że pewien egoizm, który owładnął górną częścią naszego społeczeństwa, tę, która żyje jako tako, która ma te czy inne wydatki, że ten dziki egoizm każe nam zapominać o tem, co się dzieje w Polsce, że odgradzamy się od tego jako od rzeczy, która nas napawa wstrętem. Bo przecież to jest bardzo paskudna rzeczywistość...

„Mówimy sobie, że jesteśmy mocarstwem.

„My czytamy gazety, czytamy o wielkich sukcesach naszej polityki zagranicznej i tak to jakoś przyjmujemy, że idziemy sobie na brydża, do klubu i powiadamy: jakoś to będzie. Jak wyglądają te sukcesy w rzeczywistości polskiej? Że nas dziś to czy inne pismo nazywa mocarstwem, że ten czy inny minister państwa ościennego lub dalszego powie, że Polska idzie po drodze mocarstwowej — czy nas to może tak bardzo przejmować? Jest to pusty dźwięk, który idzie w przestrzeń bez echa i bez znaczenia.

Jakież mocarstwo może znieść taką nędzę, jaka jest w Polsce, może pozwolić na to, że ludzie się duszą na gospodarstwach karłowatych i w miastach nadaremnie wyciągają ręce po pracę. Czy takie mocarstwo może mieć jakiś ważki głos na terenie międzynarodowym, wtenczas, gdy się z nami nie zgadzają?".

UKARAĆ WINNYCH

Podczas szeregu ostatnich procesów sądowych oskarżeni lub świadkowie skarżyli się, że bito ich w śledztwie pierwiastkowem. Z tego powodu pisze *Robotnik* (Nr. 215):

„Przypuśćmy nawet, że tu i owdzie może wchodzić w grę czyjaś przesada, czyjaś histerja; niesposób jednak uwierzyć, że setki ludzi — socjaliści i komuniści, ludowcy i „endecy", Ukraińcy i Żydzi — akurat zmówili się zawczasu, by złośliwie dyskredytować i policję i władze śledcze I dlatego trzeba — i nawet czas ostatni — postawić rzecz zupełnie wyraźnie

Takich spraw nie wolno puszczać mimo uszu. Chodzi o powagę Rzeczypospolitej i o powagę wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Śledztwo pierwiastkowe — to tak samo wymiar sprawiedliwości. Albo słowa skarżących się na bicie są kłamliwe, a w takim razie należy stwierdzić to publicznie i przywrócić honor jednostkom urzędowym, które miały sam proceder tolerować, względnie w nim uczestniczyć. Albo też — owe słowa są zgodne z prawdą, a w takim wypadku winni muszą być ukarani z całą surowością prawa.

„Trzeciego wyjścia niema. Prokuratura powinna zrozumieć, że w grę wchodzi kwestja szacunku dla niej".

BŁĄD W ROZUMOWANIU

Dziennik *Czas* zastanawia się na tem, „o ile ostatnia amnestja przyczyniła się do wzrostu ilości dokonanych przestępstw". W tym celu zestawia liczbę przestępstw popełnionych w 1-ym kwartale rb. ze statystyką przestępstw 1-go kwartału r. ub. Kradzieży zameldowano policji w 1-ym kwartale rb. 133.439, tj. o 8.919 więcej, niż w tym samym okresie r. ub. Zabójstw w 1-ym kwartale było 374 (o 64 więcej), usiłowań zabójstwa 411 (o 89 więcej).

Czas przypisuje ten wzrost przestępstw ostatniej amnestji, zapominając, że w ciągu ostatnich 5 *lat* mamy do czynienia z nieustannem wzrostem przestępczości.

Zasada: post hoc ergo propter hoc (potem, a więc dlatego), jest wielce zawodna.

DOBRODZIEJE MIASTA

Wszystkie nasze miasta, które korzystały z t. zw. pożyczek ullenowskich przechodzą konwulsje finansowe, nie mogąc odpowiednio zaspakajać rosnących potrzeb kulturalnych i modernizować swoich urządzeń.

W tem świetle nabiera wymowy zarządzenie wojewody kieleckiego, który w tych dniach zawiesił w czynnościach dyrektora wodociągów i kanalizacji w Kielcach za... samowolne przedłużenie urlopu. Ale nie był to zwykły urlop odpoczynkowy urzędnika prowincjonalnego i niewielkiego miasta. Oto bowiem magistrat kielecki wysłał dyrektora kanalizacji do Anglji, Holandji i Belgji na studja kanalizacyjne, zapewniając mu zwrot wszystkich kosztów podróży: samolotami, sleepingami, samochodami i t. d., oraz wypłatę djet dziennych, ustalonych nie w złotych polskich, jak przystałoby na Polaków, ale w walucie amerykańskiej, w wysokości 18 dolarów dziennie (przeszło 100 zł.). Pan dyrektor jest tylko człowiekiem, wielkim urzędnikiem małego miasta, cóż więc dziwnego, że w tych warunkach przedłużył sobie urlop, ale w jakiej tutaj roli występuje magistrat miasta Kielc?

ŻĄDZA PODRÓŻY

Możność bezpłatnego podróżowania w ciągu dwóch tygodni kolejami państwowemi rozbudziło wśród dzieci niepohamowane pragnienie zwiedzania kraju.

Wiadomo, że w myśl udogodnienia, wprowadzonego od dwóch lat przez władze kolejowe, każda osoba dorosła, wykupująca bilet podróżny, ma prawo bezpłatnie zabierać ze sobą w drogę czworo dzieci do 14 lat. Z kresów wschodnich donoszą, że od dn. 13-go ub. m. wzmógł się tam znacznie ruch dziecięcy na kolejach. Dworce, perony i poczekalnie w obrębie Wileńskiej Dyrekcji Kolejowej są przepełnione małymi podróżnymi, którzy usiłują przystać do dorosłych, aby móc bezpłatnie pojechać pociągiem. Zdarza się często, że niezamożni rodzice, których nie stać na kupno biletu, pomagają w tem swoim dzieciom, oblegającym obcych podróżnych i proszą ich o opiekę w drodze. Władze kolejowe rozpoczęły walkę z tą „nostalgją podróży" i wraz z policją zarządziły ostatnio planowe obławy, zatrzymując dziesiątkami zrozpaczonych „trampów" płci obojga. Ze stanowiska porządku to zarządzenie, jakkolwiek przykre, jest zrozumiałe, jednak różne towarzystwa opieki nad dziećmi i różne komitety rodzicielskie przy szkołach powinny obmyśleć jakieś inne sposoby, zaspokajające żądzę podróżowania dzieci.

STATYSTYKA SAMOBÓJSTW W NIEMCZECH

W roku 1934 na 10.000 mężczyzn w wieku od 15 do 30 lat, popełniło samobójstwa 3,8, na 10.000 kobiet w tymże wieku 1,6. W wieku od 30 do 45 lat — mężczyzn 4,1, kobiet 1,9. W wieku od 45 do 60 lat popełnia samobójstwo mężczyzn 7,4, kobiet 2,7. W wieku od 60 do 70 lat mężczyzn 9,3, kobiet 2,9; a w wieku ponad 70 lat liczba samobójstw jest najobfitsza, bowiem na 10.000 osób popełniają samobójstwa: mężczyzn 10,8, kobiet 3,4.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Wacławowi W. w Będzinie. *Epoka* wychodzi obecnie raz na dwa tygodnie.

Panu Mieczysławowi Z. w Kaliszu. Powoli, przyjdzie czas i na to.

Pani Zofji M. w Łodzi. Nie do druku. Straszliwie przecukrzone.

Pani Ewie L. w Stanisławowie. Dziękujemy, wysłaliśmy.

Panu J. St. K. w Druskienikach. „Sensacyj" tego gatunku nie uprawiamy. Wcale nam nie chodzi o „powodzenie za wszelką cenę". Nie zorjentował się Pan w charakterze i poziomie pisma. Nie brak różnych świstków, które chętnie wydrukują pańskie „opisy".

Panu Janowi W. w Przemyślu. Słuszny wywód, ale słabo napisany. Na ten temat znajdzie Pan w „Epoce" sporo materjału.

Panu Edwardowi Z. w Wilnie. W 3-cim n-rze „Epoki".

Pani Helenie G. w Poznaniu. Poruszymy tę sprawę.

Panu Jerzemu L. z Bydgoszczy. Nie możemy zamieścić.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wydawnictwa księgarni F. Hoesicka:

Stefan Otwinowski: Życie trwa 4 dni.

Gustawa Jarecka: Przed jutrem.

Stanisław Szpotański: Czerwone maki.

Witold Bunikiewicz: Życie w kolorach.

Alina Świderska: Prometeusz i perliczka.

Teodora Drzewiecka: Drugi mąż.

Stanisław Łukasiewicz: Nauczyciele.

Wydawnictwa Tow. Wydawn. „Rój":

Aldons Huxley: Muzyka nocą.

Aldons Huxley: Ostrze na ostrze. 2 tomy.

Aldons Huxley: Nowy wspaniały świat.

Aldons Huxley: Drwiący piłat.

Aleksander Swiętochowski: Genealogja teraźniejszości.

Wydawnictwo dzieł Krishnamurtri:

Krishnamurti: Przemówienia. Włochy i Norwegja.

Od wydawnictwa

Prenumeratorów „E p o k i"

którzy dotychczas nie nadesłali należności za czerwiec, lipiec i sierpień r. b. (zł. 3.—) prosimy o jej uregulowanie, by uniknąć przerwy w otrzymywaniu pisma

Do numeru niniejszego dołączamy blankiety P. K. O.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 60 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 2847 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.